

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok 2

Łódź, 19 sierpnia 1946 r.

Nr 32 (50)

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

GŁOS W DYSKUSJI SZKOLNEJ

Nie mam zamiaru powiedzieć wszystkiego co myślę o obecnej sytuacji szkoły. Nie chcę nawet poruszyć paru wybranych spraw, które gotów jestem uważać za najważniejsze. Chcę jedynie napisać to, — co powinno być napisane w obecnym stadium dyskusji, po artykułach Margala i Libery.

Rażące nas wszystkich — oderwanie naszych postępowych intelektualistów, naszej ideowej awangardy od duchowego życia mas — może być rozwiązane tylko przez rozwiązanie problemu szkolnego. Winno się skończyć niezamierzone ambasadorstwo ideologii dojrzałej kultury, zamiast współdziałania z tymi, którzy faktycznie tworzą żywe ciało kultury. Do pomyślnego rozwiązania tego zagadnienia można dojść przede wszystkim przez właściwe zorganizowanie społecznych instytucji służących upowszechnianiu, krążeniu dóbr kulturalnych, a więc systemu oświaty, a więc szkoły.

Trzeba skończyć z tym stanem, w którym jedni umieją odróżniać fazy ideowe w twórczości Wiktora Hugo, a drudzy wierzą w mordy rytualne. Stan umysłów właściwy tym drugim, stan ciemnoty — musi stać się tylko faktem zapomnianej, gorzkiej przeszłości. Wiem — istotą orgii ciemnoty w Polsce jest walka polityczna. Walk politycznych nie wygrywa się argumentami ideowymi. Trzeba stosować skuteczne środki bezpośredniej akcji politycznej. Ale jest w tym wszystkim i aspekt kulturalny. I tym się w tej chwili chcę zająć.

Stan umysłów w Polsce, zwłaszcza stan umysłów młodzieży musi ulec zmianie. Tej pracy winna się podjąć szkoła. A dotąd jej nie podjęła. Jak już pisałem, szkoła opóźnia się, stoi w tyle za życiem. Co wynika jak dotąd niezbitcie z dwu tak różnych w tonie bilansów minionego roku szkolnego, u nas, z artykułów Margala i Libery?

Wynika niedwuznacznie, że właściwa ideowa, wychowawcza praca w naszej szkole zamarła.

Nauczycielstwo pracuje w niezwykle trudnych warunkach. Jest głodne i niedocenione. I do pioruna, trzeba, aby rząd wreszcie radykalnie zmienił ten stan rzeczy. Nauczycielstwo pracuje ofiarnie, ale tylko odbudowując z gruzów materialny stan posiadania szkoły i pełniąc funkcje nauczające. To wiele. Ale to również mało. Z całą pokorą i podziwem myślę o tych upartych i bohaterkich ludziach — którzy z niczego odbudowywali gmachy, klasy, gabinety fizyczne i sale robót ręcznych. Z podziwem myślę o tych ludziach, którzy uczyli wytrwale w zimnych salach, w niewykończonych budynkach, sami źle odziani i stowarzyszeni na co dzień z troską o swoje głodne dzieci.

Ale właśnie — tak szanując tych ludzi — ośmielałem się w trosce obywatelskiej zaklinać ich, żeby zrobili więcej. Bo tego trzeba. Bo tego nie wolno zaniedbać. Obcując stale z młodzieżą — mogą i powinni wychowywać ją. To ich już nie obciąża więcej. A to przecież jest sensem nauczycielskiego powołania: ideowa praca w szkole. Tymczasem każde zetknięcie się z naszą szkołą mówi, że właśnie ta dziedzina jest zaniedbana. Mówmy jasno. Nauczyciele nie są reakjonistami. Nauczyciele nie prowadzą w szkole reakcyjnej czy opozycyjnej agitacji.

Ale typową ich postawą jest bierność. A to inaczej — jest rezygnacją z podstawowej funkcji szkoły, z funkcji wychowawczej.

Typową, zbyt typową dla naszej szkoły jest postawa tej nauczycielki historii cytowanej przez Margala. Doprowadziła wykład historii do wyprawy kijowskiej. A potem nie powiedziała ani „tak” ani „nie”. Nie prowadziła bynajmniej reakcyjnej agitacji. Po prostu wycofała się. Kazała uczniom czytać samym i samym urabiać sobie sąd historyczny o współczesności.

Czy czujecie całą potworność tego stanowiska? Więc chłopcy bez doświadczeń życiowych, bez dojrzałych poglądów, bez możliwości nawet obszernych badań — zostawieni są sami sobie. I nauczycielka i szkoła uważa, że jest w porządku. Ba, jest wzorem. Umożliwia bowiem swobodny, szanujący człowieka wybór opinii. Rzuca te dzieci na pastwę niewiadomych, choćby najgorszych wpływów. Byle umyć ręce gestem Piłata. Gestem Piłata drwiącego z prawdy.

Trzy są możliwe do wyboru stanowiska wobec rzeczywistości: opozycyjne, bierne i afirmujące.

jednostki. Znam tę chorobę Inteligencką. Jakże rozpędzić ten koszmar!

Proszę mi wierzyć, nie chcę poddawać się uczuciu. Myślmy krytycznie. Bierność jest doprawdy niewłaściwą metodą wychowawczą i właśnie dziś. Bo proszę, gdzie urabiała się ideowo nasza młodzież, ci co zaczęli wojnę, jako dziesięć, dwunastoletni? W szkole triumfującego faszystwu. Powiecie — nie stykali się z Niemcami. Ale nie mieli przepasek na oczach. Przez pięć lat widzieli uwodzące sukcesy metod hitlerowskich, dymy Majdanka mimo oporu naszej moralności uczyli ich pogardy dla człowieka. Krew Żydów mimo postawy polskich sfer ideowych uczyła ich obojętności dla cierpień, panoszący się Niemiec mimo polskiej pogardy uczył ich zwierzęcego nacjonalizmu, patriotyzmu, którego treścią jest nienawiść do innych narodów. Bez polskiej szkoły i często polskiej książki, często w niemieckiej fabryce, częściej sprzedając papierosy na ulicy urabiali te dzieci swoją świadomość.



Maciej Morawa

Szkoła

Opozycji czynnej nauczyciel nie wybrał. Na tyle znam teorię pedagogiki, iż rozumiem, że szkoła, że proces wychowawczy z natury swej musi opierać się na wartościach pozytywnych. Nie można stworzyć szkoły opartej na zasadzie tylko buntu, opozycji, krytyki, negacji. Proces urabiania człowieka polega na obcowaniu z uznawanymi wartościami, polega na krytycznej co prawda — ale afirmacji. Choćby tylko tabliczki mnożenia.

Nauczycielstwo — jak i wiele środowisk inteligentkich — zdezorientowane latami ofensywy faszystwu, wytrącone z ideowej równowagi — nie zajęło w swej masie świadomości pozytywnego stosunku do nowej rzeczywistości polskiej, nie afirmowało w ten sposób jak robotnik, jak większość chłopów, jak awangarda inteligencji postępowej — pisarzy, uczeni, artyści — reform i osiągnięć demokracji ludowej. Nauczyciel sam nieprzekonany, poniechał pracę ideową, pracę wychowawczą w szkole. Wybrał bierność. Stosuje swoisty leseferyzm. Pozwala, by atmosfera ideowa szkoły kształtowała się bez jego czynnej interwencji. Niepewny swego, czeka rozstrzygnięcia od losu, z zewnątrz.

To doprawdy jest dla myślącego Polaka źródłem rozpacz!

Bierność ideowa. Niezdolność wyboru. Poczucie wielkiej niepewności. Chwiejność wszelkich konstrukcji rozumu. Pewność — jakże skromna — tylko doznań

Nie trzeba zapominać, że faktyczne wpływy wychowawcze polskich konspiracyjnych ośrodków ideowych były raczej ograniczone do zamkniętego i bynajmniej nie milionowego kręgu sprzysiężonych. Szkoła będzie zawsze instytucją o nieporównywalnie szerszym zasięgu, aniżeli jakakolwiek konspiracja nawet najbardziej zdeterminowanego społeczeństwa.

Psychika ludzka jest tak zbudowana, iż młodzież wojenna nie może być nie zatruta jadem faszystwu, egoizmem, antyhumanitaryzmem, brakiem poczucia społecznego. A przy tym to jest najwspanialszy materiał — to są bohaterscy powstańcy Warszawy, to są heroiczne i do końca wierne ofiary spekulantów politycznych.

Nie brak im charakteru, nie brak im cnót. Brak im właśnie wytrawnego sądu, krytycyzmu, brak rozeznania trudnych faktów życia społecznego i politycznego.

Trzeba im dać światopogląd, trzeba ich urabiać ideowo. Trzeba z ich świadomości wytrzebiać wszystkie zakorzenione, mimo woli wchłonięte zarazki faszystowskiego myślenia, nieludzkiego stosunku do świata, wstecznych ideologii społecznych i politycznych.

Nie wolno być biernym. Jest rachunek zła i krzywd w ojczyźnie. I trzeba go po imieniu nazywać. Ale jest wielki wysiłek twórczy, idziemy naprzód, idziemy ku dobru. Idziemy, drogą wyznaczoną przez bohaterką tradycję ruchu ludowego, ru-

„...szkoła nie może bowiem być obojętna, „neutralna” wobec tego, co zagraża samej istocie cywilizacji”
Jerzy Cogniot

chu robotniczego. I młodzież musi nauczyć się kochać i cenić te rzeczy. Trzeba urabiać jej charakter i umysły na tych wartościach, które Polska Ludowa stworzyła i stwarza co dzień. Jak również trzeba im pokazywać dalszą drogę, jeszcze nie osiągnięte cele: pełną sprawiedliwość społeczną.

I tego dzieła musi podjąć się nauczyciel. To on pierwszy musi w sobie przytaknąć nowej rzeczywistości. Szkoła polska musi się stać szkołą awangardy budowniczych Polski, którą tworzymy, Polski uwolnionej od dzisiejszych błędów. Lecz tu nauczyciel powinien nadać wraz ze szkołą, za życiem. Musi pojąć, że droga wykuwana w ciągu ostatnich dwu lat i w poprzedniej konsekwentnej walce z faszystwem jest właściwą drogą.

I niech mi nie mówi nikt, że mu czujne sumienie i miłość kraju nie pozwala być po stronie Obozu Wielkiej Reformy. Uzasadniałem te rzeczy szerzej w moich artykułach w „Kuźnicy” („Czy w Polsce szanuje się człowieka?”) i „Odrodzeniu” („Niecierpliwa retoryka”). Tu powiem krótko. Po naszej stronie stałby Żeromski wołający w imieniu wszystkich bandosów o reformę rolną, po naszej stronie byłby Waryński i Abramowski walczący o społeczne formy gospodarowania.

Obóz Wielkiej Reformy w Polsce jest właśnie spadkobiercą idei społecznych, które są zaszczytem, polskiej kultury. Ten obóz jest spadkobiercą Kołłątaja, Mochackiego, Mickiewicza, Worcella, Orzeszkowej, Waryńskiego i Krzywickiego. Chcemy byście młodzież uczyli na pismach tych ludzi tak czuć i myśleć jak oni o postępie, o pracy, o prostym człowieku i o rewolucji w Polsce.

Napisy ku czci „bohaterów Wierchowin” nie mogą hańbić polskiej szkoły!

Szanuję trud nauczyciela i rozważałem to długo w sumieniu — ale nie mogę tak jak Libera uznać pracy nauczyciela, jeśli on odbudowuje tylko materialny stan posiadania szkoły. Odbudowa materialnego stanu posiadania to zadanie górnika, kolejarza, pocztowca. Nauczyciel jest powołany do pracy ideologicznej, do wychowywania. I w sumieniu moim czuję się czyśty wymagając od nauczycieli mimo ich złych warunków — porzucenia bierności, żądając twardo i gwałtownie pozytywnej pracy wychowawczej w szkole.

Stefan Żółkiewski.

STANISŁAW JERZY LEC

Piosenka byłego partyzanta

Śwąd sośniny palonej
chodzi po moich snach.
Lesie, coś był mi domem
zbuduj nademną dach.

Znałeś leśnego żołnierza,
poznałżebyś go dziś?
Świecił nam na kominie
żywy, dębowy liść.

Niepojemna jest serce człowieka,
niewiele zmieścisz w nim.
W moim na niejsze czeka
żona, córka i syn.

Stoi bezbronny cywil
odarty z legendy i drzew.
Wolności, zwróć mu przywilej:
owocujący gulem!

EDWARD JAN STRZELECKI

O życiu na emigracji bez komentarzy

Gdzieś w lutym bieżącego roku „Dziennik Żołnierza” — pismo wydawane przez I Dywizję Pancerną, która w Polsce nazywa się dywizją gen. Maczka — ogłosił ankietę wzywając swych czytelników do wypowiadania życzeń odnośnie treści i charakteru artykułów.

Ankieta dała wyniki bardzo charakterystyczne, a komentarze poszczególnych odpowiedzi były dla redakcji wręcz nieoczekiwane. Z artykułu omawiającego odpowiedzi czytelników, wynikało, że najwięcej głosów żołnierskich domagało się powiększenia działu „Wiadomości z kraju”, a ograniczenia działu „Życie żołnierzy w Szkocji” i „Życie oddziałów w Niemczech”. Wśród zacytowanych dopisków na ankiecie, a musiało być ich dużo skoro o nich jedynie wspomniano, znalazły się takie: „Proszę o fakty z życia w Polsce, a nie o artykuły redakcyjne na temat wydarzeń w kraju”, „Piszcie o Polsce bez głupich i złośliwych komentarzy”, „Wiadomości ze Szkocji i Niemiec są nudne” i t. p.

Odpowiedzi żołnierzy były anonimowe, a więc były odruchem swobodnym, niezależnym od woli dowódców i przełożonych. Raz jeszcze okazało się, że przeciętny żołnierz polski na Zachodzie ma zdrowe podejście do życia i zagadnień dnia dzisiejszego. Psują mu opinie swoim postępowaniem sfery kierownicze — szkoda, że im ulega.

Myszę, że podobnie jak ów żołnierz na Zachodzie chce znać prawdę o Polsce przez nikogo nie komentowaną i z podanych faktów wnioski wyciągać samodzielnie, tak i czytelnik tu w kraju najchętniej widziałby obraz życia Polaków w Niemczech bez uwag autora.

Postaram się w dalszej części tego artykułu do tych życzeń się zastosować. Postaram się nie dodawać do faktów, o których wspomnę i które sam widziałem, chyba, że dla ich zrozumienia potrzebne będzie wyjaśnienie okoliczności i warunków nieznanych czytelnikowi.

Główną część moich wspomnień poświęcę z natury rzeczy środowisku w którym przebywałem. Myszę, że w tym wypadku będzie to miało swoje plusy, wobec faktu, że losy zagnały mnie do miasta — obozu zwanego „Maczków”, a pokazowy ten obóz stworzony i kierowany przez kółka nieprzejednanej emigracji, jest terenem, na którym uwypukla się działalność i dążność tych kół.

Nie należy z powyższego wyciągać wniosku, że Maczków był obozem wyjątkowym i że gdzie indziej działało się inaczej. Różnice były niewielkie i nie zmieniały one ogólnego charakteru i warunków wspólnych wszystkim obozom.

Po zakończeniu działań wojennych rozproszoną po „banerach” i fabrykach polską ludność cywilną zgrupowano w obozach. Najczęściej były to dawne barakowe obozy niemieckie, rzadziej bloki koszarowe, bardzo rzadko wysiedlone z Niemców miasteczka czy wsie. Personel kierujący obozem tworzyli z reguły byli jeńcy wojenni specjalnie na te funkcje odkomenderowani. Ci ostatni mieli oczywiście prócz tego swoje własne obozy wojskowe.

Tak więc społeczeństwo polskie w Niemczech dzieliło się na dwie odrębne grupy: większą i gorzej sytuowaną „dipisów” (Displaced Persons — osoby wysiedlone) i mniejszą, bardziej uprzywilejowaną „pewriksów” (ex Prisoner of war — byli jeńcy wojenni).

Cywil miał przede wszystkim mniejszą kulturalną rację żywiołową. Poza to wojskowy dostawał zupełnie przyzwyczajone zaopatrzenie mundurowe, które jeżeli chodzi o wartość i praktyczne zastosowanie, przewyższało wszelkie przydziały cywilnej odcieży, dokonywane przez UNRRA. Możliwość poruszania się po Niemczech zarówno formalnie (otrzymywanie przepustek) jak i praktycznie (możliwość korzystania z wojskowych wozów) było łatwiejsze dla byłych jeńców. Cywil napotykał tu na znaczne trudności. Wojskowy dostawał żołd — wysiedleńca nie miał źródeł dochodu.

Piszę być może o rzeczach ogólnie znanych, pragnę jednak je podkreślić, jako, że stwarzały podstawy do tworzenia się dwóch odrębnych grup Polaków, z których większa „dipisowska” zazdrościła mniejszej „pewriksowskiej”, przez los wyróżnionej. Różnice te i konsekwentnie wynikająca z nich niechęć do byłych jeńców specjalnie spotrzącać można było w obozach cywilnych, w których na dodatek władza należała zwykle do wojskowych.

Komendę obozów cywilnych stanowili z reguły byli jeńcy wojenni wyznaczeni z urzędu dla zorganizowania i kierowania przypadkowo dobranym zespołem ludzi najczęściej o bardzo różnorodnym składzie. Stan ten, zrozumiały na początku, później, dzięki naciskowi od dołu, musiano zmienić na rodzaj wybieralnego samorządu. Sprawę tego samorządu

walkowano przez pół roku na rozmaitych zjazdach poto, aby żadnej konkretnej ogólnej formy nie stworzyć.

Ale sprawy powołania cywilnych zarządów pominąć nie było już można. Wołania wysiedleńców cywilnych stawały się zbyt natężone we i... zbyt uzasadnione.

W Maczkowie sprawę tę załatwiono następująco: Pewnego dnia ogłoszono, że zarząd przekazany zostaje cywilnej ludności. Na specjalnej uroczystości mieszkańcy dowiedzieli się, że zamiast kapitana K., Maczkowem zarządzać będzie doktor G. Ten ostatni był co prawda wyznaczony, ale w każdym razie cywil. Trwało to równy miesiąc, poczem dr. G. zweryfikował się jako oficer i wystąpił w mundurze rotmistrza.

W osiem miesięcy potem odbyły się wreszcie w Maczkowie wybory. Na miejsce rotmistrza G. powołany został nauczyciel F. Ten w ubraniu cywilnym wytrwał równo tydzień, poczem ukazał się w mundurze porucznika.

Fakty te nie były odosobnione. Krażył dowcip, że liczba byłych jeńców wojennych im dalej od końca wojny tym bardziej rośnie. Pokusa przejścia do świata „lepszych 200 tys. rodzin” była poważna. A nadawanie tego przywileju pozwalało wojskowym władzom emigracyjnym podporządkować sobie wybijające się jednostki wśród wysiedleńców. Dysponowanie legitymacjami byłych jeńców wojennych, wydawanymi dowolnie, bez względu na to, czy kto tym jeńcem był czy nie stanowiło poważny atut w ręku emigracji.

Ponad dwoma wymienionymi grupami Polaków istniała trzecia zasadniczo dla pozostałych nie osiągalna — oficerowie i żołnierze zatrudnieni w służbie brytyjskiej. Podstawę tej grupy stanowiła I. Dywizja Pancerna, której wpływy, jeżeli chodzi o skupisko Polaków, znacznie przekraczały rejon okupacji, przydzielony tej jednostce wojskowej, jako wychodzącej w skład Brytyjskiej Armii Renu (B.A.O.R.). Obok niej istniała sieć oficerów kontaktowych i łącznikowych przy poszczególnych formacjach angielskich. Cały ten zespół podporządkowany był sztabowi gen. Bora — Komorowskiego urzędującemu w Londynie.

Popularność wodza powstania warszawskiego nie była wreszcie tak duża, jakby mógł ktoś przypuszczać. Przykładem może tu być fakt, że Bór — Komorowski będąc w Niemczech, w czerwcu ubiegłego roku, nie odwiedził swoich podwładnych z powstania zgrupowanych w obozie oficerskim w Lubecie, ponieważ nie potrafił on zagwarantować należytego dla „bohatera” przyjęcia. Osobą główną w sztabie był raczej gen. Kopański.

Dowodzą I. Dywizji w okresie okupacji był gen. Rudnicki, a nie, jak się w Polsce sądzi, gen. Maczek, którego po zakończeniu działań odwołano do Anglii. Rudnicki, który w okresie wojny był podwładnym gen. Andersa, czynił wszystko, aby dorównać swemu dawnemu przełożonemu, nie miał jednak ku temu danych i walorów osobistych. Ambicje gen. Rudnickiego, niech zilustruje następujący wypadek:

Delegacje obozów z rejonu polskiej dywizji pancerniej zostały zaproszone do Bardowicku na zjazd organizacyjny Związku Polaków na Obczyźnie. Na zjazd ostatecznie wyjechała tylko połowa wyznaczonych (nie wybranych) przedstawicieli i to dopiero na koniec obrad. Stało się tak dlatego, że dowódca Dywizji nie wydał rozkazu przydzielenia na czas odpowiedniej liczby wozów. Dlaczego? Może nie będąc organizatorem nie był pewien co ten zjazd uchwali, a może czując się moralnym opiekunem polskiej ludności wysiedlonej w Niemczech, nie chciał by ktoś inny zrobił mu konkurencję. Ambicje zwyciężyły.

Rzecz działa się w listopadzie 45 r. W marcu 1946 r. kolejny zjazd Polaków odbył się w Lingen (rejon dywizji polskiej) i był należyście obsesany. Przebieg obrad był tajny, zaproszono tylko wybranych. Ogół ludności ani tu ani tam nie był reprezentowany.

Działalność polskich oficerów i żołnierzy w pierwszym okresie powojennym zapisana została w sercach byłych jeńców wojennych i wysiedleńców wdzięcznymi i przyjaznymi zgłoskami. Przez swoją ofiarą pomoc zrobili dużo dobrego dla ogółu wyzwolonych rodaków. Później ten stosunek zaczął się psuć. Zapal wśród polskich brytyjczyków do pomagania ziomkom — malał z każdym dniem wobec ogromu potrzeb. Społeczeństwo polskie, które stało w Niemczech, stało się dla nich ciężarem. Razita ich rosła przestępczość, drażniła dążność do samodzielności tych „ubogich krewnych”.

Wysiedleńcy i byli jeńcy ze swej strony odczuwali do nich niechęć w sprawach codziennych, lub wręcz wrogość, gdy „maczkowcy” występowali w roli władzy okupacyjnej.

Proszę sobie wyobrazić taki obrazek. Do Maczkowa zajeżdża ekipa polskiej żandarmerii wojskowej dla przeprowadzenia konfiska-

ty samochodów i motocykli. Władze brytyjskie wydały zarządzenie unieważniające wszelkie transakcje kupna pojazdów mechanicznych od Niemców i poleciły wszystkie wozy będące w posiadaniu Polaków konfiskować. Zadanie to właśnie wykonywano. Polacy odbierali Polakom samochody i motocykle, kupione od Niemców, przetrzasali skrupulatnie wszystkie zabudowania, komórki i stodoły i, o ironio, skład odebranych pojazdów zrobili na placu za rzeką w niemieckiej części miasta. Ludność niemiecka patrzyła na to z niekrywaną radością. Potrafili być polscy żandarmi bardziej surowi, niż wydane przez Brytyjczyków prawa, mniej wyrozumiali w poszczególnych wypadkach, niż ich angielscy koledzy. Specjalnie odczuwała to ludność handlująca żywnością (Polacy otrzymywali w przydziałach produkty puszkowe, a tęsknili za artykułami świeżymi) na zasadach wymiany bezgotówkowej: kawa, herbata, czekolada, kakao za słoninę, masło, kartofle, jajka.

Prawdziwym polickim natury moralnej dla byłych jeńców stało się zarządzenie „o beretach”, wydane przez Dowódcę dywizji w marcu bieżącego roku. Rzecz polegała na tym, że uwolnieni z obozów polscy żołnierze i oficerowie, pragnąc upodobnić się do swych braci z armii zachodniej ubierali się dość powszechnie w ciemne berety (angielski beret był zielony). Takie właśnie otrzymywali oni zresztą w składzie normalnych sort mundurowych. I oto we wspomnianym rozkazie b. jeńcom zabroniono chodzić w ciemnych i granatowych beretach, ponieważ... psują oni opinię dywizji swoim złym zachowaniem się.

Ciemny beret, który wojskowych polskich wyodrębniał spośród innych armii i podkreślał łączność wszystkich Polaków w mundurach — rolę tę przestał odgrywać. Zamożny i wysoko postawiony kuzyn wyrzekł się swego biednego krewnego. Układ społeczny polskiego środowiska w Niemczech ciążył widocznie nad całym tamtejszym życiem. Wojskowa dyscyplina starannie pielęgnowana przez kółka emigracyjne, „bo przecież niebawem będzie wojna, która takiej zwartości szeregów będzie wymagała” — pozwalała tym łatwiej kierować wykończoną i ogłupioną masą emigracyjną.

Wywieranie presji na poglądy i zamierzanie ogółu następowało na drodze propagandy. I znowu na przykładach z Maczkowa postaram się to zilustrować. Maczków, jako obóz mieszkaniowo uprzywilejowany (miasteczko niemieckie Haren nad Ems — wysiedlono z Niemców i zamieniono na polski obóz) i leżąca pod ręką dywizji, bo oddalony o 15 km. od siedziby sztabu, Meppen, otaczany był zawsze specjalną opieką.

Pierwotny, zupełnie przypadkowy skład tego obozu stanowił w 80 proc. robotnicy i ludność rolnicza, a 20 proc. — inteligencja, przywieziona z obozu koncentracyjnego w Buchenwald. Zespół ten w swojej pierwszej publicznej wypowiedzi w 70 proc. zadeklarował się za powrotem do kraju. Podobny procent dał plebiscyt w innych obozach. Ten niemiły dla siebie „stan umysłów” kółka emigracyjne postanowiły odrobić.

Wróćmy jednak do plebiscytu w Maczkowie. Wyniki jego ogłoszono w piśmie obozowym na podstawie nieoficjalnych danych. Komendant obozu (burmistrz miasta) wezwał mnie do siebie.

— Skąd pan wie, że 70 proc. wypowiedziało się za powrotem?

— Od komisarzy spisowych.

— Ale nie dokonano jeszcze obliczeń oficjalnych.

— Chętnie sprostuję, jeżeli się pomyliłem.

— Zabraniam panu publikowania takich danych.

— Wszak jestem obowiązany informować mieszkańców o ważniejszych wydarzeniach.

— Wyniki plebiscytu nikogo nie interesują. Został on przeprowadzony jedynie dla wiadomości władz.

Sprostowanie nigdy się nie ukazało, bo za powrotem głosowało 67 proc. Władze uznały, że niema się czym chwalić. Komendant znalazł jednak dobrą stronę plebiscytu (zapisy były imienne): „Teraz przynajmniej będziemy wiedzieli kogo przycisnąć”. Słowa te wypowiedziane były na odprawie komendy obozu.

Redaktor maczkowskiej gazetki również zapisał się na powrót do kraju. Zwrócono mu wówczas uwagę, że nie ma prawa prowadzić żadnej propagandy. Ponieważ gazetka nie miała części artykułowej, chodziło tu o dobór informacji radiowych. Sposób się znalazł.

W tym czasie skradziono z redakcji dobry odbiornik radiowy. Mimo starań przez 6 zimowych miesięcy Komenda nie przydzieliła na potrzeby gazetki nowego aparatu. Proponowa no dostarczenie odbiornika dwuzakresowego (bez fal krótkich), który „nie łapał” Warszawy. Na to redaktor się nie zgodził i chodził słuchać radia do kolegi.

Jeżeli chodzi o prasę, Maczków zarzucony był gazetami i wydawnictwami obozu emigracyjnego przy równoczesnym nie dopuszczaniu pism krajowych. To był również sposób zdobycia wyłączności i jednostronności informowania mieszkańców obozu. Na indeksie znajdowały się również „Wiadomości” — pismo wydawane przez brytyjski zarząd wojskowy. Zaczęło ono wychodzić na jesieni i do obozów nadsyłało je regularnie.

Na pytanie, ile egzemplarzy potrzebuje Maczków odpowiedziano: 200, ponieważ pytała się władza, a miejscowy Wydział Oświaty i Kultury, który rozdzielal gazety, otrzymywał niezwłocznie polecenie niszczenia ich i niedopuszczania do ludności. „Wiadomości” reprezentujące tylko brytyjski zarząd widzenia podawały informacje z Polski bez komentarzy. Nie było to pożądane.

Spójrzmy jeszcze kto nadawał ton atmosferze Maczkowa.

Do elity tej „kulturalnej stolicy Polski” zaliczał się między innymi szef tamtejszej policji W. Fuchs, cieszący się wybitną sympatią i pełnym zaufaniem władz. Pan Fuchs aresztował i wyrzucał z miasta ludzi, którzy zjawiali się w Maczkowie i chętnym słuchaczom — na ulicy, bo publiczne lokale były dla prelegentów życzliwych Krajowi niedostępne — opowiadali o Polsce. Była to walka z wrogimi elementami. Pan Fuchs tropił i bił w czasie śledztwa osoby, które organizowały powrót do kraju w pierwszych miesiącach po uwolnieniu. Te czynności skolei nazywały się ściganiem nielegalnej kontrbandy.

W listopadzie 45 roku rozesłano listy gończe za p. Fichsem — poszukiwany on jest za defraudację na większą skalę i drobne pospolite kradzieże. Nie był on oczywiście „człowiekiem szandarowym”, ale niewątpliwie przez wysokie emigranckie czynniki wyraźnie był faworyzowany.

Dla pełniejszego obrazu damy jeszcze wizerunek postaci całkowicie „reprezentacyjnej”, burmistrza m. Maczkowa Dr. Gałęckiego. W Dyrekcji miejscowego teamu UNRRA toczy się rozmowa na temat wzajemnej współpracy. Po wyczerpaniu sprawy Dr. Gałęcki, zwraca się do dyr. teamu p. Rousseau — Belg, z prośbą o poparcie akcji, skierowanej przeciwko kapitanowi Kukli, szefowi polskiej misji repatriacyjnej na rejon I. Dywizji. „Tego „pana” musimy usadzić. Jakim prawem mieszka on w Maczkowie skoro urządzuje w Meppen. Ja mu nie pozwolę odwiedzać żony w Maczkowie chyba w towarzystwie oficera brytyjskiego — mam przecież do tego formalną podstawę w istniejących rozporządzeniach angielskich. Ja nie będę tolerował w Maczkowie prowadzenia żadnej propagandy za powrotem”. Belg słuchając tej filipiki szuka czegoś w papierach i po ostatnich słowach Burmistrza wręcza mu bez słowa ostatni okólnik 30 korpusu (w skład którego wchodzi I. Dywizja). Z okólnika wynika, że oficerowie polskich misji repatriacyjnych mają prawo na terenie obozów zakładać biura informacyjno — propagandowe, które jedno cześnie mają się zająć rejestracją zgłaszających się na wyjazd. Dr. Gałęcki jest zaskoczony. Belg dodaje, że jeżeli chodzi o mieszkanie kpt. Kukli w Maczkowie, to, przecież nie można utrudniać ludziom życia — przecież w interesie Polski leży, żeby większość Polaków wróciła do kraju, że tam są ogromne zadania przy odbudowie. Takie rzeczy Belg mu si tłumaczy Polakowi.

Pisząc o kapitanie Kukli muszę przy okazji dodać, że w kolach I. Dywizji rozpuszczano o nim wiadomość, że jest byłym oficerem SS, gdzie zgłosił się celem uzyskania zwolnienia z oflagu. Pogłoska ta, nie oparta o dowody, zapewne by poszła w zapomnienie, gdyby nie fakt, że po miesiącu kpt. Kuklę odwołano do kraju. Komentarz odwołania „puszczony” przez kółka emigracyjne był następujący: „Został odwołany na żądanie władz brytyjskich, ponieważ był w SS”. Historia ta przyniosła wielką szkodę sprawie propagandy powrotowej, wskazuje ona jak starannie i uważnie musi być prowadzona akcja obsadzania i odwoływania polskich oficerów w Niemczech. Szczególnie delikatną pozycją jest stanowisko oficera repatriacyjnego w rejonie I. Dywizji. Kpt. Kukla zjawił się tam jako pierwszy reprezentant kraju dopiero w początku marca, a w końcu kwietnia wyjechał. To nie było najszybsze posunięcie.

Takimi metodami próbowano zmienić i wpłynąć na poglądy szerokiego rzesz Polaków w Niemczech. Chodziło o wmówienie w nich, że wyjazd do Polski nie jest wyprawą w nieznany świat, a po prostu świadomą decyzją skazania się na straszliwy pod każdym względem los. Typowym przykładem stosowanej metody były stosunki w obozie dla repatriantów.

Do stolika podchodzą ludzie, których angielski oficer zapytuje przez tłumacza czy chcą wracać do Polski w znanych im obecnych warunkach. W duszy repatrianta napompującej wroga krajowej propagandą powstaje jeszcze jedna wątpliwość. Przecież dnia poprzedniego pytano go o to samo w obozie macierzystym. Odpowiedział „tak” i dlatego jest tu w Versen.

Nastawienie większości mieszkańców obozów w ciągu zimy zmieniało się nie tylko w

PAWEŁ HERTZ

Dwie podróże

Do poety

Gdybyż to można było stworzyć dzieło,
zaledwie zarys mając w oku,
lekko jak dziecko greckie, gdy usnęło
na marmurowym obłoku.

Lecz ty nie jesteś dżutem, moje pióro,
niepewnie drżysz wśród palców moich,
w stolicy, która jest obca lazuram,
gdzie jestem jak w pustej Trol.

Tu czas uderza piaskami ze złota,
ku śmierci dążąc niezłomnie.
Nie dzieło trudne, lecz piękna robota
zostanie po mnie.
1938



PAWEŁ HERTZ

Zaproszenie do podróży

Wszystkie metale piękne: miedź, cyna i mosiądz
zbyt nietrwałe są, nazbyt kruche.
Marmur bierz biały: żywy będzie posąg,
choć żłrenice puste, twarz bez ruchu.
Grecja jest w rysach tych, Rzym w fałdach ubioru
nieruchomy przecież żywym gada głosem.
W architekturze ciała szukam dla pieśni wzoru,
nie na ziemi i nie na niebiosach.

Czasem posąg zstępuje z siedmiu wzgórz,
podobny do anatoma w kapeluszu Rembrandta —
jest to strażnik nocny z paszportem emigranta
albo lkar spadający do naszych stóp.
Wtedy Dedal do podróży zaprasza
i kraje pokazuje, gdzie roztrpność nasza
jak ptak okrutny szuka gorzkiego pokarmu,
zamiast żywego ciała chłodny kocha marmur.

Wtedy Dedal do podróży zaprasza,
która trwa tylko kilka godzin:
w wyrzeczeniu będzie mądrość nasza
i tajemnica narodzin.
1939.

Koń trojański

Zgubiłem pióro, lampę oraz sygnet,
jak ptak odbiega mnie piękna litera,
w wąskiej ulicy, którą chodził Vigny,
muza dar słowa jak jabłko odbiera.

Zostałem niemy jak biust senatora,
rzymskich mi rysów brak i ślepych żłrenic.
Powiedz, córko dozorcey, czy ty jesteś Kora
i czy matka pozwoli spleść ci dla mnie wieniec,

lub kluczem staroświeckim otwierać jak wrota
milczenie moje, by jak koń trojański
cyklista z lutnią wszedł w mój sen pogański
rozwiązał dlonie i język ze złota.

Tego mi trzeba muzo, gdy zastygam w pysze,
spowity w marmurowej togli prześcieradło;
Diamant, który ukradłaś, rzucasz na zwierciadło:
sygnet mój niby pióro piękne słowa pisze.
1938

Klucz pieśni gdzież jest, jeżeli nie w tobie,
pastusku włoski, w kapeluszu greckim!
Powracam, z ziemi tej wyszedłszy jeszcze dzieckiem,
aby kolumnie postawić na grobie.

Turysta, cudzoziemiec, pod takim cyprysem
marmurowym położy cyfrę, albo imię,
będzie to, gdy posagu stanę się zarysem,
twarz bez żłrenic, jakich wiele w Rzymie.

gdzie po kamienkach stąpasz, deptając żłłte trawy,
w sukniach wspaniałych jak w prostej tunice,
i jedną ręką chustę daiesz Weronice,
druga łagodnie gasząc mój wzrok zbyt ciekawy.
1938.

Niech lata miną nad książkami,
stawiając młodość nam za tło,
spłowieje kurtki twej aksamitu
i jeszcze — co?

W starości godnej, marszcząc czoło,
odepchniesz rzeczy kształt i woń,
nie ułasz ludziom i aniołom
i cofasz dłoń.

A tu niebieskim niebem ponad
pracowni szklanym dachem twym
przebiega muza-narzeczoną
i niesie rym.

I jeszcze co? Zastygła sława,
miejsce w historii, wierszy tom:
napis położy ci Warszawa
na biały dom.

Powrót do domu

Ja barbarzyńskiej nie pamiętam mowy,
pierwszego lotu uczyła mnie Nike,
okryty płaszczem polowym
sen wojny i pokoju w słowach smutnych zamykam,
skrzydlata
matko moja,
uśpiona w paryskim Luwrze,
syn marnotrawny powraca do ciebie po latach:
tu popiół, tu była Troja,
tutaj chcę umrzeć.

¹⁾ z tomu „Dwie podróże“, który w najbliższym czasie
ukaze się nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik“.

A. MAKARENKO

Przekład B. RAFAŁOWSKIEJ

POEMAT PEDAGOGICZNY

OPERACJE O CHARAKTERZE WEWNĘTRZNYM

W lutym zginęła z szuflady cała paczka
pieniędzy, prawie sześciomiesięczna moja pensja.

W moim pokoju mieszkała się wtedy i kancelaria, i pokój nauczycielski, i rachuba, i kasa, gdyż wszystkie te funkcje zespółity się w moich rękach. Paczka nowiutkich asygnacji ulotniła się z zamkniętej szuflady bez najmniejszych śladów włamania.

Wieczorem opowiedziałem o tym chłopcom i prosiłem o zwrot pieniędzy. Nie mogłem dowieść kradzieży, i można mnie było bez trudu oskarżyć o roztrwonienie. Chłopcy ponuro wysłuchali moich słów i rozeszli się. Kiedy po zebraniu szedłem przez ciemne podwórko do swego pokoju, podeszło do mnie dwóch: Taraniec i Hud. Hud, był to mały, zwinny chłopiec.

— Wiemy kto ukradł pieniądze — wyszeptał Taraniec — ale powiedzieć przy wszystkich nie można: nie wiemy gdzie są schowane. A jeżeli powiemy, weźmie nogi za pas i zabierze pieniądze.

— Kto wziął?

— Tutaj jeden...

Hud patrzył na Taranca spode łba, nie pochwalając widocznie całkowicie jego polityki. Wymamrotał:

— Fację mu trzeba obić... Po co te nasze rozmowy!

— A kto obije? — zwrócił się do niego Taraniec. Ty obijesz? Jak on cię weźmie w obroty...

— Powiedźcie mi, kto wziął pieniądze. Pomówcie z nim — zaproponowałem.

— Nie, tak nie można.

Taraniec żądał konspiracji. Wzruszyłem ramionami:

— No, jak chcecie.

Poszedłem spać.

Rano Hud znalazł pieniądze. Ktoś je rzucił na wąskie okienko stajni i tam właśnie leżały rozrzucone. Chłopiec drząc z radości, przybiegł do mnie, trzymając w rękach zmieszane i nieporządnie ułożone asygnacje; tańczył z radości. Chłopcy promienieli i przybiegali do mego pokoju, by na mnie spojrzeć. Tylko Taraniec chodził z dumnie podniesioną głową. Nie wypytywałem ani jego, ani Huda co robili po odbytej ze mną rozmowie.

Po dwóch dniach ktoś zerwał kłódki z piwnicy i skradł kilka funtów słoniny — cały nasz majątek tłuszczywy. Skradł również kłódkę. Zaraz następnego dnia wysadzono okno w spiżarni — zginęły cukierki przygotowane na Święto Rewolucji Lutowej i kilka puszek dziegciu, któreśmy cenili na równi z walutą.

Serdiuk w ciągu kilku dni schudł, zwracał swą pobladłą twarz do każdego kolonisty, dymił mu w nos machorkę i przekonywał:

— Pomyślcie tylko sami! Przecież to dla was, psiekrwie, przecież sami siebie okradacie, darmożjadę!

Taraniec wiedział więcej od innych, ale zachowywał się dziwnie, nie zamierzał jakoś odsłaniać tajemnic. Kolonisci byli bardzo elokwentni, ale widać było, że interesuje ich raczej strona sportowa samego zagadnienia. W żaden sposób nie chcieli nastroić się na nutę, że okradziono właśnie ich.

— Co możemy na to poradzić, Antoni Siemienowiczu? Nie wiemy, kto wziął. Wy nie wiecie i my też nie wiemy.

Rozumiałem zresztą od samego początku, że rozmowy moje są zbędne. Kradł ktoś ze starszych, kogo się wszyscy młodzi bali.

Następnego dnia pojechałem z dwoma chłopcami do miasta, by starać się o ponowny przydział słoniny. Jeździliśmy kilka dni z rzędu, w końcu słoninę wyjeździliśmy,

Dano nam również porcję cukierków, choć wymyślano mocno, że nie potrafimy upilnować. Wieczorami opowiadaliśmy szczegółowo o swoich przygodach. Ostatecznie przywieziono słoninę na kolonię i umieszczono w piwnicy. Wykradziono ją tej samej nocy.

Ta okoliczność ucieszyła mnie nawet. Przypuszczałem, że teraz weźmie górę dobro ogółu, kolektyw i zmusi wszystkich do zajęcia się z zapałem kwestią kradzieży. Rzeczywiście, wszyscy byli zmartwieni, ale zapалу żadnego nie było widać i kiedy minęło pierwsze wrażenie, wszystkich opanował znowu szal sportowców: kto to tak zręcznie manewruje?

W kilka dni później ze stajni zginęło chomonto i nie mogliśmy nawet wyjeżdżać do miasta. Trzeba było chodzić po futorki i prosić o pożyczanie.

Kradzieży dokonywano już codziennie. Rano okazywało się, że w tym, czy innym miejscu czegoś brak: topora, piły, naczyni, prześcieradła, popregu, lejc, produktów. Próbowaliśmy nie spać w nocy i chodzić po podwórzu z rewolwerem, ale dłużej niż dwie, trzy noce nie mogłem oczywiście wytrzymać. Prosiłem Osipowa, by dyżurował jedną noc, ale tak się przelękł, że więcej tej sprawy nie poruszałem.

Podjeżdżałem wielu spośród chłopców, w tej liczbie Huda i Taranca. Nie miałem jednak żadnych dowodów i wszystkie moje podejrzenia musiałem trzymać w tajemnicy.

Zadorow śmiał się hucznie i żartował:

— A wyście myśleli, Antoni Siemienowiczu, że na kolonii pracy to tylko pracuj i pracuj — bez żadnej przyjemności. Poczekajcie, to jeszcze nie wszystko. A co zrobicie temu, kogo złapiecie?

— Wsadzę do więzienia.

— No, to jeszcze nic. Myślałem, że będziecie bić.

Kiedyś nocą wyszedł ubrany na podwórze,

— Pospaceruję z wami.
— Uważaj, bo złodzieje wezmą cię w swoje obroty.

— Nie, oni przecież widzą, że dzisiaj wy dyżurujecie i tak nie będą kraść. A więc nie straszno.

— Ale przyznaj się, Zadorow, że się ich boisz.

— Kogo? Złodziei? Chyba, że się boję. Ale to nieważne, że się boję, rozumiecie przecie sami, że wydawać się nie godzi.

— Ale przecież to was okradają.

— Mnie? Nie ma tu nic mego.

— Ale przecież przebywacie tutaj, tutaj upływa wasze życie.

— Co to za życie! Czy to jest życie? Nic nie wyjdzie z tej kolonii. Na próżno staracie się. Zobaczcie, rozkradną wszystko i rozbiją się. Wynajmijcie lepiej dwóch dobrych dozorców i dajcie im karabiny.

— Nie, dozorców nie wynajmę i karabinów im nie dam.

— Dlaczego? — zdziwił się Zadorow.

— Dozorców trzeba płacić, a my i tak jesteśmy biedni. Zresztą musimy gospodarzyć sami.

Myśl, że należałoby wynająć dozorców, wypowiadało wielu kolonistów. W sypialni toczyła się na ten temat wielka dyskusja.

Antoni Bratzenko, na lepszego przedstawiciela drugiej grupy kolonistów, dowodził:

— Kiedy stoi dozorca, nikt kraść nie pójdzie. A jeżeli nawet pójdzie, można mu w to samo miejsce wypalić ładunek soli. Kiedy tak pochodzi z miesiąc posolony, nie zechce mu się łazić więcej.

Oponował Kostek Wietkowski, ładny chłopczyk, którego specjalnością „na swobodzie“ było dokonywanie rewizji na podstawie sfalszowanych rozkazów. Grał w czasie tych rewizji rolę drugorzędnej, główne należały do dorosłych. Sam Kostek — było to stwierdzone w jego aktach — nigdy nic nie kradł

^{*)} Fragment książki, która ukaze się w najbliższym czasie nakładem Wyd. „Książka“.

dogmatyki zlekka rozcieńczona dozwolona dozą racjonalizmu — robić ideologiczne mieszanki wypróbowanej skuteczności Sienkiewicz używa motywów tradycyjno-utylitarnych — msza odprawia się 2.000 lat, bez religii nie ma pewności, nie ma stabilizacji życiowej, a ludzie zaczynają się zjadać wzajemnie, jeśli nie będą się bali piekła po śmierci. Przeważa argumentacja praktyczna, jak za ojców i dziadów. Ten brak subtelności apologetycznej irytował już Brzozowskiego w okresie gdy pisał ów, zajął się z różnych pozycji, zwalczający autora „Trylogii”, zaczynał skłaniać się do katolicyzmu.

KONTRASTY KULTURALNE

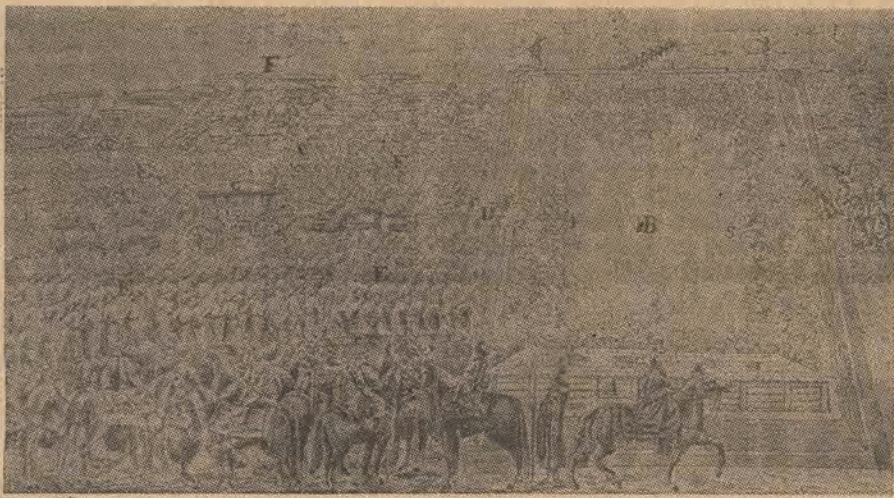
Pozycje pisarza określiły w znacznej mierze dysonanse kulturalne epoki, które dziś wydają się odległą przeszłością historyczną, choć ich skutki ciążyą na współczesności. Rozpatrując własną jałowość duchową bohater „Bez dogmatu” zastania się pojęciem „improductivite slave” (słowiańskiej nieproduktywności) modnym w swoim czasie w publicystyce zagranicznej.

W XVIII a częściowo i w XIX w. kultura warstw uprzywilejowanych arystokracji, szlachty tak u nas jak i w Rosji nosiła charakter importowany, opierała się na francuszczyźnie. Podobnie rzeczy się miały w zafascynowanych krajach niesłowiańskich, jak Rumunia, Węgry, ale Polska i Rosja dostarczały w znacznej ilości emigrantów i podróźników, którzy wzbudzały poważniejsze zainteresowanie na Zachodzie. Zresztą i kraje słowiańskie odwiedzały coraz częściej zagraniczni uczeni i pisarze, wchodzący w kontakt z miejscowymi przedstawicielami warstw wykształconych. Obserwatorów zagranicznych uderza niezmiennie silnie dysproporcja między, stopniem konsumpcyjności kulturalnej a wytwórczością. Mają do czynienia ze znaczną ilością ludzi, czytających zagraniczne nowości, będących au courant najnowszych kierunków w sztuce i nauce, przejawiających znaczną kulturę osobistą, wyrobiony gust, niekiedy olśniewające zdolności. A jednocześnie ludzie owi, odznaczający się talentami, gustem, umiemy wygłaszać efektowne sądy, przejawiają zdumiewającą jałowość w dziedzinie samodzielnych idei. Zrezygnując z interpretacji i powtarzając, potrafią zdobyć się co najwyżej na układanie drugorzędnych wariantów, wykazując nikłość, jałowość gdy chodzi o istotną twórczość kulturalną. Koncepcje rasowe miały w owym czasie dość znaczne rozpowszechnienie w dziedzinie teorii kultury (Taine). Interpretując kwestię uzdolnień poszczególnych ras w oparciu o powierzchowne obserwacje, niektórzy publicyści i socjologowie puścili w obieg owe koncepcje słowiańskiej nieproduktywności. Oslania się nią Płoszowski zastanawiając się i nad własnym życiem duchowym, życiem ludzi swojej warstwy, jałowością kulturalną, geniuszów bez teki, przy błyszczących pozorach wyrobienia i zdolności.

Dzisiaj wiemy, że owa koncepcja „improductivite slave”, (którą w nowych czasach próbował zresztą reaktywować Goebbels dla celów propagandy wojennej) wynikała z fałszywej perspektywy. Kultura krajów zachodnio-europejskich rodziła się w miastach. Tworzyły ją elementy mieszczańskie — arystokracja miejscowa również stanowiła element raczej konsumpcyjny. W miarę wciągania w obręb tej cywilizacji krajów młodych korzystały z niej w pierwszym rzędzie żywioty, które miały środki i możliwości dla sprowadzenia sobie guwernerów i metrów, na konsumpcję gotowych dóbr kulturalnych. Arystokracja i szlachta zainteresowane w utrzymaniu monopolu kulturalnego, uważały istotną twórczość narodową swych krajów za dzieło plebejskie i podejrzane pod względem społecznym, — podobnie podejrzliwie i z oporem traktowano sprawy oświaty szeroki mas, udostępnienia szkoły itp.

Kultura nie należy do rzeczy które się nabywa, ale które się przeżywa. Kosmopolityczne środowisko arystokratyczne zdobywało się niekiedy na ludzi zdolnych do takiego przeżycia procesów kulturalnych, ale ogólnie biorąc kultura tego środowiska miała charakter towarzysko-salonowy, (cechowała ją nonszalanca i powierzchowność. Francuszczyzna nabyta od guwernerów nie dawała istotnego wycia się w myśl obcą — na życie własnego kraju ludzie ci patrzyli z lekceważeniem wpojonym przez zagranicę, choć i swoich guwernerów też nie zbyt poważali. Teoria „improductivite slave” — dogadzała im w gruncie.

Cokolwiek mówi się o szlachetności naszej kultury w znacznej części w XIX wieku miała ona w oczach współczesnej arystokracji



Elekcja Michała Korybuta na Woli w roku 1669

piętno plebejuszowskie i podejrzane. Romanizm polski połączony był z infiltracją prądów radykalnych i rewolucyjną, pozytywizm przyniósł ze sobą materializm i bezbożność. Oba więc najsilniejsze prądy umysłowości polskiej w XIX wieku przyjęte były w oczach wpływowych kół ludzi „dobrze myślących” nieprzyjaźnie — robiono raczej wyjątki dla poszczególnych autorów i utworów, z którymi się godzono. Poza tym występował inny czynnik. Kierunki występujące w kraju musiały z natury rzeczy pograżać się w czarnej robocie kulturalnej — w propagandzie, udostępnianiu, popularyzacji pracy przekładowej. Wielka poezja romantyczna drukowana była zagranicą.

Literatura krajowa nosiła piętno drugorzędności. Nie bardzo mogła imponować czytelnikowi zblazowanemu na ostatnich nowościach cudzoziemskich. W kraju kierunki, mody umysłowe, pojawiały się z opóźnieniem paru dziesiątków lat.

Jeszcze pracując w dziennikarstwie Sienkiewicz poruszał kwestię nieprzyjaznego stosunku „towarzystwa” do kultury narodowej. W jednym ze swych felietonów przytacza znamieny szczegół. Gdy przetłumaczono powieść Kraszewskiego na język francuski — pewien pan z warszawskiego towarzystwa wyraził radość, że nareszcie będzie mógł dowiedzieć się co zaczął ten Kraszewski i prze-

czytać jego powieść. Pan ten książki polskiej do rąk nie brał i chlubił się tym.

O Kraszewskim mówiono, że wytrącił książkę francuską z rąk czytelnika polskiego. Kraszewski podobnie jak inni współcześni pisarze, miał niezawodnie wielkie zasługi dla popularyzacji beletrystyki polskiej. Ale na dobrą sprawę zastąpić mógł książkę francuską temu czytelnikowi, który francuskiego nie znał. W porównaniu z francuską, powieść polska zachowała owo piętno drugorzędności, które właściwie ustępuje dopiero w czasach pozytywizmu.

Bardzo często wspominając zasługi Sienkiewicza dla popularyzacji literatury polskiej w szerokiach masach przytacza się relacje czytelników chłopskich. Nie od rzeczy byłoby wspomnieć, że Sienkiewicz sfery uprzywilejowane i dobrze myślące zdobył dla książki polskiej. Sienkiewicz pisał lepiej niż Dumas, a jeśli nie głębiej, to w każdym razie bardziej interesująco, niż Bourget, pisarz dobrze widziany w kołach dobrze myślących. Dzięki Sienkiewiczowi przeżywało tu miodowy miesiąc obcowania z powieścią narodową, co stanowiło nie ostatni czynnik entuzjazmu. Te same sfery poezję romantyczną raczyły przyjąć i przyswoić naprawdę w epigonizmie Deotymy — nie bez racji więc Chmielewski zastępował ton przyjęcia poezji Deotymy, z przyjęciem powieści Sienkiewicza.

Sienkiewicz w oczach wielu współczesnych i późniejszych uchodził za pisarza nietylko wyrażającego tendencje i przesady ludzi z towarzystwa, ale i poniekąd utożsamiającego się ze szlachetczyzną. Tutaj również sprawa nie była tak prosta. Jak wielu współczesnych inteligentów szlacheckiego pochodzenia Sienkiewicz miał start życiowy dość trudny. Nałkowski w swoich szkicach ostro nawiązujących społeczna zawartość twórczości Sienkiewicza podkreśla chudopacholskie raczej pochodzenie autora „Trylogii”. Mimo, że Sienkiewicz chętnie wykazywał się karmazynowymi przodkami (rzecz u polskiej szlachty pospolita przy zmienności losów poszczególnych rodów) jego wczesna biografia przedstawia typowe rysy inteligenta owych czasów — trudne studia, korepetycje czy guwernenka w bogatych domach — oto wczesny start życiowy pietywnego neo-sarmatyizmu. Potwierdza to częste w literaturze przykłady naiwnej monumentalizacji życia warstwy uprzywilejowanej przez artystę działającego w sposób niezawsze zamierzony.

Środowisko, które Sienkiewicz proklamowało wodzem duchowym pokolenia, wykazuje szereg rysów miodowych i dla charakterystyki pisarza. „Taki wiesz jak i słuchacz”. Sienkiewicz był mądrzejszy od swych dobrze urodzonych i dobrze myślących zwolenników wspomnianej już szkoły pozytywistycznej. Na tym polega osobliwa dyalektyka jego pisarstwa.

HETMANAT

Dzisiejszy czytelnik z trudnością zrozumie nasilenie emocjonalne polemik związanych z Sienkiewiczem, ale wyjaśnia się to specjalną pozycją pisarza w pewnym zakresie. Sienkiewicz korzystał tutaj z tradycji romantycznej — „rząd dusz”, który w czasach romantyzmu pozostał fikcją niespodzianie przypadł powieściopisarzowi, który niewiele w istocie miał w sobie z romantyka. Przed tym w pozycji podobnej znalazł się na schyłku życia Kraszewski, który zresztą zadanie swoje pojął w sposób nowszy.

Po sukcesie zagranicznym „Quo vadis” zaczęto pisarzowi przypisywać specjalny autorytet międzynarodowy. Jeśli listy Sienkiewicza kierowane do wybitnych osobistości współczesnych (jak do cesarza Wilhelma II) nie miały tego oddźwięku, który im przypisywano, to jednak wzmagały niezmiennie autorytet pisarza wewnętrznego.

Nałkowski uskarża się w przedmowie do „Sienkiewiczianów”, że przez szereg lat nie można było znaleźć wydawcy czy redaktora pisma nawet wśród postępówców, któryby się zgodził na zamieszczenie artykułów przeciwko Sienkiewiczowi. Autorytet pisarza związany był z warunkami życia politycznego w Polsce, a w Kongresówce w szczególności. Czasy owe cechują „ostre przemiany strukturalne w społeczeństwie, — rozwój gospodarczy w kraju w kierunku kapitalistycznym podważał pozycję szlachty skutecznie niż carskie represje powstaniowe. „Warstwa historyczna” w uświadomieniu swej słabości wchodzi na drogę ugody, z której zresztą politycznie nic nie uzyskuje. Carat aczkolwiek z coraz większą względnością wykorzystuje przewagę społeczną, którą mu dała likwidacja pańszczyzny.

Andrzej Stawar

SPRAWA KIELECKA

Siedziejowice, 4. 8. 1946

Do Redaktora Naczelnego
„Kuznicy”

Stefana Żółkiewskiego

Szanowny Panie Redaktorze! Jako były antysemita, który na własnej skórze poznał w niewolę niemieckiej clerki smak rasistowskich prześladowań, proszę o dołączenie moich słów bezwzględnej potępienia dla inspiatorów zbrodni kieleckiej.

Z poważaniem
K. I. Gałczyński

Do
Redakcji „Kuznicy”

Zarząd Główny Związku Zaw. Polskich Artystów Plastyków przesyła w załączeniu uchwałę w sprawie mordu kieleckiego i prosi o zamieszczenie jej w „Kuznicy”.

„Krwawe zajścia kieleckie są jeszcze jednym ogniwem w łańcuchu mordów dokonywanych przez faszystowskie elementy, dążące tą drogą do wywołania niepokojów w Polsce.

Ohydny mord popełniony na niewinnych ludziach tylko z powodu ich pochodzenia, wywołuje ponure świadectwo naszej Ojczyźnie. Po całkowitym prawie wytepieniu w Polsce Żydów przez hitlerizm, nasz rodził faszysty idąc jego śladami i starając się mu dorównać, rzucają hańbiący cień na naród polski. Polscy artyści plastycy wstrząśnięci do głębi objawem tego ohydnych zdziczenia, wzywają całe społeczeństwo do walki z zatrutą jadem nienawiści agitacją, która w konsekwencji prowadzi do mordów, pogromów i zupełnej zniszczenia człowieka.

Za Zarząd Główny ZZPAP
Sekretarz Marek Włodarski
Prezes Stanisław Teyseyre

Do
REDAKCJI „KUZNICY”
w Łodzi.

W związku z oświadczeniem pracowników kultury, umieszczonym w „Kuznicy” nr 28 z dnia 22 lipca 1946 r., niżej podpisani pracownicy kultury w Poznaniu wyrażają swoją całkowitą solidarność.

Zebrań zwolano z inicjatywy Towarzystwa Współpracy Kulturalnej. Wzięli w nim udział pracownicy nauki, sztuki, oraz przedstawiciele inteligencji poznańskiej:

Adam Wiegner, doc. U.P., Stefan Różycki, prof. U.P., Tadeusz Kurkiewicz, prof. U.P., Bartz Maksymilian, Tadeusz Lubosiewicz, Eugeniusz Aniszczenko, mgr fil., Rejminiak Stanisław, Bartzowa Jadwiga, Jarosław Słuzar, dr med., Wiktorowicz Jan, dr med., Helena Hebanowska, Gwido Chmarzyński, dyr. Muzeum, Stanisław Hebanowski — nacz. Wydz. Kult. i Sztuki, Stefan Wrzyszczyński, dr med., Sterling Lech, ekonomista, Józef Janowski, dr med., prezes Izby Lekarskiej, Stanisław Szczepański, art. plastyk, Dr Gerhard

Kotzur, muzyk, dyr. Opery Pozn., Dr Zygmunt Latoszewski, dyr. Opery Pozn., Wacław Taranczewski, art. malarz.

Wysłał Towarzystwo Współpracy Kulturalnej
Poznań, Śniadeckich 60

Ponieważ jesteśmy pismem literackim protest nasz był protestem pracowników kultury. Do nich też zasadniczo skierowane było wezwanie o przyłączenie swych nazwisk. Otrzymujemy jednak i nazwiska czytelników „Kuznicy”, którzy czują się z nami solidarni:

Bitny - Szlachta Henryk, inż. leśnik, Słomczyński Leon, tokarz z Poznania, Słomczyńska Julia.

Następujący dalsi pracownicy kultury solidaryzują się z protestem „Kuznicy” w sprawie kieleckiej: Alicja Iwańska-literatka, Jan Brzechwa — literat, Janina Brzostowska — literatka, Kazimierz Andrzej Jaworski — literat, Piotr Stulek — prof. gimnazjum, Juliusz Wirski — literat, Tadeusz Kubiak — literat, Stanisław Kowalewski — literat, Stanisław Marczak - Oborski - literat, Jan Kreczmar-art. dram. Jan Nagrabiecki — literat.

Do protestu ogłoszonego w „Tygodniku Powszechnym” przyłączyli się następujący pisarze zespołu „Dziś i Jutro”:

Jerzy Antoniewicz, Lesław M. Bartelski, Witold Bieńkowski, Jan Dobraczyński, Jerzy Hagmayer, Dominik Horodyński, Janusz Kawecki, Wojciech Kętrzyński, Maciej J. Kononowicz, Marek Kononowicz, Kazimierz Koźniowski, Andrzej Krasinski, Mieczysław Kurzyński, Konstanty Lubieński, Bolesław Piascki, Marek Antoni Wasilewski,

DALSZE ECHA ZBROdni KIELECKICH

Miejska Rada Narodowa m. Sopotu, na wniosek ob. Mirosława Dybowskiego, jednogłośnie uchwaliła następującą rezolucję: „Miejska Rada Narodowa m. Sopotu w pełni solidaryzując się ze stanowiskiem wszystkich postępowych ośrodków i wszystkich uczelnych ludzi w Polsce, którzy potępili dzikie ekscesy rodzimej kultury w Kielcach.

Składając wyrazy uznania pod adresem Rządu za sprawny i sprawiedliwy wymiar kary w stosunku do winowajców barbarzyńskiego pogromu, Rada Narodowa m. Sopotu nakłada na Miejski Wydział Kultury i Sztuki obowiązek zorganizowania w porozumieniu z duchowieństwem, kilku uświadamiających odczytów dla tutejszego społeczeństwa, o nieistnieniu mordów rytualnych.”

Treść niniejszej uchwały — Rada Narodowa postanowiła opublikować na łamach „Dziennika Bałtyckiego”, „Życia Warszawy”, „Kuznicy”, aby swym stanowiskiem pobudzić Rady Narodowe innych miast Rzeczypospolitej do podjęcia szerokiej akcji uświadamiającej, mającej na celu wyrwanie naszego społeczeństwa z obłądnej psychologii antysemityzmu.

wyniku propagandy i wyjazdu pierwszymi jesieniami transportami najbardziej niecierpliwych i zdecydowanych — ale również wobec lokowania w obozach uciekinierów z Polski.

Towarzystwo to, dążąc świadomie do zdobycia uznania kół emigracyjnych i przez to lepszych warunków, celowo i bez skrupułów opowiadało wyłącznie o niemych stronach życia w Polsce. Posiadali oni kolosalny atut w postaci faktu, że byli „naoczni świadkami”. W rozlicznych pogadankach i odczytach

starali się oni udowodnić twierdzenie o braku wszelkich nadziei na przyszłość jeżeli chodzi o poprawę warunków i stosunków w kraju. W wielokrotnych rozmowach z prelegentami — oczywiście rozmowach prywatnych — niewątpliwie się przekonałem, że nie wszyscy i nie tak całkiem beznadziejnie widzieli perspektywę rozwoju życia w kraju.

Ich nastawienie zmieniło się zresztą z biegiem czasu. Przyjechali do Niemiec w przeświadczeniu, że jest to tylko etap podróży na zachód. Tymczasem problem wyjazdu da

lej nie był wcale prosty i ludzie ci miesiącami siedzieli w takim Maczkowie. Wówczas coraz częściej słyszało się od nich: „w Polsce to przynajmniej wszystko można dostać, a tutaj ciągle te konserwy”. Ktoś inny skarżył się, że nie może naprawić ubrania i butów — ceny horrendalne, a zarobków niema. (Rzemieślnicy obozowi, obowiązani pracować dla dobra ogółu, byli z reguły pasożytami i paskarzami, z którymi nie potrafiło sobie poradzić. Tak samo dokuczył uciekinierom brak pracy i rozrywek, na który w

kraju — jak przyznawali — nie można narzekać.

Wszystko to co zniechęcało nowoprzybyłych, a tym więcej obrzydzało życie wysiedleńcom i byłym jeńcom. Okres powojenny spędzony w wolnym od wroga kraju pod opieką zachodnich Aliantów nie dał im psychicznego odprężenia po latach niewoli. Po był w tej krajnie „szczęśliwej”, gdzie pracować nikomu nie kazano i też dawano za darmo, nie był odpoczynkiem, ale wymuszoną torturą.

Edward Jan Strzelecki

ANDRZEJ STAWAR

SIENKIEWICZ (III)

Kwestie etyczne wiążą się z zagadnieniem społecznym. Polaniecki uważany był za typ polskiego burzua, typ w literaturze polskiej nowy. Komedie Fredry np. nie zajmują się burżuazją, poza karykaturalnymi postaciami lichwiarzy i spekulantów (Geldhab, Łatka). Korzeniowski zajmował się przechodzeniem typu szlacheckiego w mieszczański, lecz — rzecz znamienna — spotkał się również z zarzutami niskiego poziomu etycznego — „moralności kuchennej”, jak to określił Klaczko.

Mamy tu znów zagadnienie kryzysu moralnego. Powstanie nowoczesnej burżuazji w Europie Zachodniej historycznie wiązało się z przebudową zasad etycznych z wykruszeniem dawnych wartości i zjawieniem się nowych reformacji. Wyrobiły one tradycyjne typy moralności burżuazyjnej. Jako jedna z podstawowych cech występuje tu ciągłość działania społecznego stanowiąca istotną podstawę praktyczną etyki. Przekazywanie interesu z ojca na syna, poczucie trwałości konstrukcji społecznej, opartej na prawach i obowiązkach wyrobiło typ etyki autonomicznej, który cechował solidnych przedstawicieli starej burżuazji, w przeciwieństwie do grynderów, spekulantów, „rycerzy przemysłu”.

U Polanieckiego nie ma przede wszystkim tego poczucia trwałości. Można by go nazwać, odwracając tytuł komedii Moliera — „szlachciec mieszczańskim”. Ten typ polskiego burzua ze szlachty, odczuwa w gruncie rzeczy swoją sytuację przedsiębiorcy i groszorbę miejskiego jako pewnego rodzaju przygodę rodową, niekoniecznie miłą. Gdy się tylko nadarzy okazja zarobionymi w mieście pieniędzmi śpieszy utrwalić swą pozycję przez nabycie własności ziemskiej, bo tylko to w jego pojęciu daje prawdziwe znaczenie w społeczeństwie, wiąże go z powrotem z jego ziemiańskimi tradycjami. Ow typ okazał nadzwyczajną trwałość — jeszcze w okresie inflacji po tamtej wojnie ówczesna publicystyka gospodarcza podnosiła wypadki, gdy fabrykanci otrzymujący kredyty państwowe (w warunkach inflacyjnych stanowiących słabo osłoniętą darowiznę) na odbudowę i uruchomienie swych zakładów zamiast tego kupowali za owe pieniądze majątki ziemskie — nie dla spekulacji — ale dlatego, że to „dawało pozycję”. Solidniejszy element burżuazyjny reprezentuje współnik Polanieckiego, pochodzący z Niemców — Bigiel. Jest to również rys typowy. W ogóle wspomniane powieści zachowały wartość jako obraz środowiska społecznego. Zdarza się artystom, iż rysy w zamierzeniu „monumentalne” czy „wzorowe” (tak bywało np. z Balzakiem), późniejsi czytelnicy przyjmują tylko jako charakterystyczne. Zarówno jeśli idzie o „Bez dogmatu” jak zwłaszcza o „Rodzinę Polanieckich” właśnie typizacja materiału artystycznego utrwaliła cechy środowiska w sposób klasyczny. Współcześni posiadali tu odmienną perspektywę.

QUO VADIS

Wspólny rys łączący „Quo vadis” ze współczesnymi powieściami Sienkiewicza stanowi niewątpliwie tendencja katolicka i antyracjonalistyczna.

„Quo vadis” stanowiła jeden z największych sukcesów wydawniczych świata, zjednała Sienkiewiczowi olbrzymie uznanie, ale też poderwała w znacznej mierze kredyt jego jako artysty w oczach wybredniejszej publiczności międzynarodowej, do której nie docierały walory Sienkiewicza jako stylisty. Znaczący antyku drażniło zanadto popularne traktowanie świata antycznego. Z drugiej strony przedstawienie początków chrześcijaństwa w sposób mniej więcej odpowiadający wyobrażeniom Maryni Polanieckiej zraziło wpływowe koła intelektualistów chrześcijańskich. Powierzchny estetyzm „siemiradczyni” w pojmowaniu i przedstawieniu świata antycznego zaciążyły nad walorami opisowymi. Zalety narracyjne zresztą przeważały. Sienkiewicz z wiel-

ką swobodą porusza się na gruncie rzymskiego towarzystwa, co wynika nie tylko ze studiów nad materiałami historycznymi, ale z przeniesienia w tamtą epokę wielu rysów środowiska autora.

Niewątpliwie przedstawiciele arystokracji rzymskiej w powieści brani zostali ze świata otaczającego Sienkiewicza — Winicjusz wydaje się równie bliskim krewniakiem Kmicica jak Krzycki z „Wirów”, Petroniusz jest równie wyrafinowany i dekadentcki jak Płoszowski, Nero przypomina potrosze naszych magnackich „samodurów”, w których obrazy obfitowała tradycja szlachecka. Z tego podłoża wyrósł szereg żywych epizodów,

ściągających w stosunkach rzymskich. Obecnie jest swoista dialektyka walki i współtworzenia nowej rzeczywistości przez sprzeczne prądy społeczne, jakie występują w tej epoce. C. starorzemscy chrześcijanie wyglądają tak jakby wzory do nich autor czerpał z jakiegoś pobożnego bractwa czasów dzisiejszych. „Quo vadis” wykazuje spojrzenie na Rzym, w gruncie rzeczy ahistoryczne, w duchu potocznych pojęć przyrządzonych w sposób antyczny.

W swoim czasie „Bez dogmatu”, „Rodzina Polanieckich” tak jak i „Quo vadis” uchodziły za utwory programowo katolickie. Tak oceniał je Tarnowski oraz inni krytycy prawnicy. Obecnie autorzy katolicy, jak



Henryk Sienkiewicz z dziećmi

Sienkiewicz niewątpliwie czerpał również modele z bliskich jeszcze stosunków pańszczyźnianych w kraju. W powieściach opartych na tematyce polskiej na ogół obrazków w tym stylu unikał. Dalo to obraz niezmiernie żywy choć z przewagą efektów dość powierzchownych.

W powieści nie ma państwa rzymskiego. Obraz środowiska rządzącego przedstawiony został znów przez pryzmat prowincjonalnego szlachecka, który widzi nadużycia, korupcję, zepsucie, czerpiąc wiadomości o tym co się dzieje z plotek stołecznych, ale nie wnika w zjawiska. Nero hula, urządza orgie, zgrywa się, daje upust swoim spaczonym instynktom — otoczenie pełza przed nim, intryguje. Słowem wygląda to na dwór magnata konsumującego dochód ze swoich włości. Ale przecie ludzie ci musieli załatwiać zagadnienia bieżące administracji ogromnego państwa, — odbywała się tam rozgrywka różnorodnych kierunków i koncepcji rządzenia

Jeśli w powieści niema państwa rzymskiego, to podobnie przedstawia się w gruncie rzeczy sprawa z chrześcijaństwem — Sienkiewicz nie chwytą rewolucyjnej istoty chrze-

świadczy sienkiewiczowski numer „Tygodnika Powszechnego”, wypowiadają się o tych powieściach ujemnie, lub w najlepszym razie z rezerwą. P. Starowieyska - Morstinowa pisząc o wpływach pozytywistycznych na światopogląd Sienkiewicza, daje do zrozumienia, że poza prywatnym swoim katolicyzmem daleki jest on od wyrażania stanowiska istotnie katolickiego. Sienkiewiczowskie uzasadnienia wydają się dzisiejszym konserwatystom najwne. Dzisiejsi rzecznicy katolicyzmu chętnie operują pseudo naukową sofistyką — kontynuatorzy scholastyki średniowiecznej nie bez zrzeczności posilają się w swych apologetycznych wywodach nihilizmem światopoglądowym niektórych matadorów wiedzy współczesnej, otwierającym furtki dla fideizmu. W czasach Sienkiewicza sprawy te przedstawiały się, powiedzmy, prościej. Kropidło i woda święcona nie zwykły jeszcze szukać poparcia w wywodach nowoczesnej fizyki i chemii. Płoszowscy naszych czasów nauczyli się swym kryzysem ideologicznym zaradzać w sposób gładszy, potrafią oni z produktów pseudopsychologicznego wiórkowania wyciągów z literatury naukowej, filozoficznej oraz

Tak toczy się świątek...

NAFTA ZBAWIA

Chcicie posłuchać nieznaną jeszcze baśń perskiej? Te o żeglazku Sindbadzie, te o złodzieju z Bagdadu znacie, są jednak jeszcze inne, mniej głośnie, o innych złodziejach i żeglazkach... Oto Persja, krajana czarów i dywanów latających, zwana dziś Iranem. A więc posłuchajcie...

Reuter podaje: „W liście do dziennika „Times” członek parlamentu brytyjskiego, poseł Jones, wzywa Wielką Brytanię do energicznego przeciwdziałania antybrytyjskim wpływom pośród robotników kopalni ropy w południowym Iranie przez udzielenie im pomocy i kierownictwa. Poseł ten, jeden z trzech członków parlamentu brytyjskiego, którzy na wniosek Foreign Office odbyli podróż do Iranu dla zbadań warunków pracy na terenach Anglo - Irańskiego Towarzystwa Naftowego, zaznacza, że sła robocza w Iranie jest bardzo niedojrzała i stanowi potencjalne źródło zamieszek, o ile stanie się ofiarą pewnego rodzaju propagandy. Pos. Jones podkreślił ogromne znaczenie pracy cywilizacyjnej, dokonanej przez Anglo - Irańskie Towarzystwo Naftowe dla dobra ludności Iranu. Wielka Brytania powinna postarać się zapoznać ludność Iranu ze swym sposobem życia i formami rządu. Dlaczegożby ludność Iranu nie miała dojść do wniosku, że są one godne naśladowania? Stwierdziwszy, że odbudowa gospodarcza Wielkiej Brytanii uzależniona jest w znacznym stopniu od stałego przyprywu dużych ilości ropy z Iranu, Jones jest zdania, że Wielka Brytania powinna utrzymać przyjazne stosunki z Iranem. Irańczycy są narodem zdolnym, łatwo nabywają wiadomości techniczne i naukowe. Nie ma powodu, aby nie mogli również szybko rozwinąć się pod względem politycznym przy pomocy i pod kierownictwem Brytyjczyków.”

Macie więc nową bajkę o żeglazkach, przyjaciele. Dlaczegożby Irańczycy nie mieli dojść do wniosku, że angielski sposób życia jest godny naśladowania, prawda? Przecież ludność bardzo sobie ceniła angielski sposób życia, który, jak wiadomo, naśladowała oddawna ze smakiem, a zwłaszcza jeden z nich, Mahatma, entuzjasta, że tak powiem, naczelny Brytyjczyków i ich Towarzystw niesienia pomocy cywilizacyjnej.

O Szeherazado... O noce bagdadzkie... O nafto tryskająca dla dobra Iranu.

Nie zamierzam tłumaczyć, jaka rzeczywistość kryje się za brytyjską misją naftowo-cywilizacyjną, nie mówię do głupców. Dziesiątki milionów kolorowych ludzi od długich dziesiątków lat wznosi wielkim głosem dzięki do niebios za miłosierdzie brytyjskie. Co parę lat Mahatma rozpoczyna głodówkę w swej celi, aby tym dobitniej zadokumentować swą wdzięczność dla lordów z Downing Street. Rzecz zbyt plugawa w swej jawności, aby ją demaskować. Ale w tej balce jest jeszcze coś... posłuchajcie...

Ten tonik postokroć obrzydliwy, wstydlivy, obłudny: „Siła robocza w Iranie jest bardzo niedojrzała, może stać się ofiarą pewnego rodzaju propagandy, a przecież nie ma powodu, aby nie mogła szybko rozwinąć się pod względem politycznym przy pomocy Brytyjczyków...”. Znać te anglosaską przystojność wyrażań, za którą czai się baśń o wyzysku i zbrodni? To język klasy, która, już świadoma swego bezprawia, usiłuje je pokryć ogólną elegancją stylu; nikt w świecie nie dba dziś w równym stopniu o nobliwą kadencję frazy, jak oni — mówcy i dyplomaci przemysłu owijający obłudną metaforą swe prawdy, których nie zdołają zataić nawet przed samym sobą. Nie tym językiem przemawiały ludowe baśnie perskie o fruwalących dywanach. Nie znają go klasy młode, wchodzące w okres walk i zdobyczy, zawsze był instrumentem zachowania, dóbr zagarniętych przez wyzysk. Mówili nim dyplomaci wszystkich antycznych regimów, ów dostojny fałsz lgnął do ust Choiseulów i Metternichów — póki nie siłował go żarliwy patos rewolucji.

Błogosławcie naftę, Irańczycy! Przynieś ona szczęście wam i waszym dzieciom, napelni wasze śpiączki i wypasie trzody. Posłowie z wysp brytyjskich są tak dobrośliwi, że pozwolą wam naśladować swój sposób życia i formy rządów, nauczą was strzelać z karabinów pod swą życziwą komendą i może kiedyś, jeśli będziecie grzeczni, zawiadzą was w dalekie kraje, jak dziś polskich i żołnierzy Andersa, i pozwolą wam pilnować swych fabryk, rurociągów czy kopalni. Strzeżcie się wiadomej propagandy, Irańczycy, bo strasznym grzechem jest pragnąć sprawiedliwości, jeśli może to zmniejszyć dopływ ropy do Wielkiej Brytanii...

Grzech, jak rzekł mędrzec współczesny, jest zjawiskiem geograficznym. Cnota jest zjawiskiem przemysłowym — mówię to wam ja —

Kandyd.

i pociągała go przede wszystkim estetyczna strona operacji. Odnosił się do złodzieiów zawsze z pogardą. Dawno zwrócił uwagę na skomplikowaną i subtelną naturę tego chłopca. Dziwiło go to, że łatwo współżył z najdzikszymi chłopcami i był uważany przez wszystkich za autorytet w zagadnieniach politycznych. Kostek dowodził:

— Kierownik ma rację. Nie trzeba brać dozorców! Teraz jeszcze nie rozumiemy, ale niedługo zrozumiemy wszyscy, że na kolonii kraść nie wolno. Zresztą już teraz wielu to rozumie. Niedługo zaczniemy sami dozorować. Prawda, Burun? — zwrócił się nieoczekiwanie do Buruna.

— No, co, dozorować, to dozorować — powiedział Burun.

W lutym nasza gospodyni przesała pracować na kolonii, wyjednała zgodę na przeniesienie jej do jakiegoś szpitala. Pawnej niedzieli podjechał pod jej ganek Malec i wszyscy jej przyjaciele. Uczestnicy filozoficznych herbatki przystąpili czynnie do składania w saniach nieskończonej ilości woreczków i walizek. Dobra staruszka, kłyszcząc się spokojnie na samym szczycie swego majątku, mknęła z szybkością dwóch kilometrów na godzinę ku nowemu życiu.

Malec wrócił późno, ale wrócił wraz z nim staruszka i z łkaniem i krzykami wpadła do mego pokoju: ograbiono ją doszczętnie. Przyjaciele jej i pomocnicy znosili do sań nie wszystkie kufereczki, walizeczki i woreczki, odnosili je także w inne miejsca — grabież była bezczelna. Obudziłem natychmiast Serdiuka, dokonaliśmy ogólnej rewizji na całej kolonii. Nagrabiono tyle, że nie wszystko zdążono jak się należy pochować. Część skarbów gospodyni znalazła w krzakach, na strychach szop, pod gankiem, po prostu pod łózkami i za szafami. Staruszka była rzeczywiście bogata: znaleźliśmy kolo tuzina nowych obrusów, wiele prześcieradeł i ręczników, srebrne łyżki, jakieś wazoniki, bransoletki, kolczyki i wiele innych drobiazgów.

Staruszka płakała w moim pokoju, a pokój stopniowo zapelniał się aresztowanymi, jej byłymi przyjaciółmi i zaufanymi. Okazało się, że przyjaciele staruszki nie byli jej

głównymi grabieżcami. Ograniczyli się do drobnych pamiątek w rodzaju serwetki do herbaty czy cukierniczki. Główną figurą w tej całej akcji był Burun. Odkrycie to zdumiało wielu, a przede wszystkim mnie samego. Burun od pierwszego dnia robił wrażenie bardziej solidne niż inni, był zawsze poważny, opanowany, uprzejmy i lepiej niż inni, z zainteresowaniem i wytrwałością uczył się w szkole. Oszłomił mnie jego rozmach: ukrył całe worki dobytku staruszki. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że wszystkie poprzednie kradzieże na kolonii były dziełem jego rąk.

Ostatecznie dotarłem do sedna zła! Oddałem Buruna pod sąd ludu, pierwszy sąd w dziejach naszej kolonii.

W sypialni, na łózkach i na stołach, ulokowali się obdarci, czarni sędziowie. Mała lampka oświetlała przejęte twarze kolonistów i bladą twarz Buruna ciężkiego, z grubą szyją, nieruchawego, podobnego do Mac-Konleya, prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Z oburzeniem, nie przebiegając w słowach, opisałem chłopcom przestępstwo: ograbił starą kobietę, której całe szczęście mieści się w tych nieszczęśliwych szmatkach, ograbił, nie bacząc na to, że nikt na kolonii nie kochał tak chłopców, jak właśnie ona, ograbił wtedy, kiedy prosiła o pomoc — to przecież nieudźkie, na to potrzeba być podłym gadem. Człowiek powinien mieć szacunek dla człowieka, powinien być mocny i dumny, nie wolno mu krzywdzić słabych.

Czy moje słowa wywarły tak duże wrażenie, czy też niezależnie od nich w kolonistach było dość gniewu — rezultat był taki, że rzucono się na Buruna gremialnie i z pasją. Mały, kudłaty Bratzenko wyciągnął do Buruna ręce:

— No, co! Co masz do powiedzenia? Twoje miejsce za kratkami, w ciupie! Myśmy głodowali przez ciebie i tyś wziął pieniądze Antoniego Siemionowicza!

Burun nagle zaprotestował:

— Pieniądze Antoniego Siemionowicza?

— No to dowiedz!

— Dowiedę.

— A co, możeś nie wziął? Nie ty?

— A co, ja?

— Pewnie, że ty.

— Ja wziąłem pieniądze Antoniego Siemionowicza? A kto tego dowiedzie?

Za nim rozległ się głos Taranca:

— Ja dowiodę.

Burun stracił pewność siebie. Odwrócił się do Taranca. Chciał coś powiedzieć, potem machnął ręką.

— No, niech będzie, że ja. To przecież oddałem.

W odpowiedzi na to chłopcy wybuchnęli śmiechem. Spodobała im się ta interesująca rozmowa. Taraniec miał minę bohatera. Wystąpił naprzód.

Tylko wyganiać go nie trzeba. Mało co zdarza się z ludźmi. Obić mu mordę — to trzeba zrobić.

Wszyscy zamilkli. Burun objął spokojnym spojrzeniem ospałą twarz Taranca.

— Daleko twoim łapom do mojej mordy.

I czego wyłazisz ze skóry? Kierować kolonią i tak nie będziesz. Antoni Siemionowicz mordę nabije, jeśli trzeba, a co to ciebie obchodzi?

Wieckowski zerwał się z miejsca:

— Jaktó, co to ciebie obchodzi. — Chłopcy, czy to nasza sprawa, czy nie nasza?

— Nasza! — krzyknęli chłopcy. — My sami zamykamy ci pysk, lepiej niż Antoni Siemionowicz.

Ktoś się już rzucił w stronę Buruna. Bratzenko wymachiwał rękami tuż koło twarzy Buruna i wrzeszczał:

— Tłuc cię trzeba, tłuc!

Zadorow szepnął mi do ucha:

— Zabierzcie go jakoś, bo go obją.

Odciągnąłem Bratzenkę od Buruna. Zadorow odepchnął dwóch czy trzech. Z trudem udało nam się opanować wrzawę.

— Niech mówi Burun. Niech powie! — krzyknął Bratzenko.

Burun spuścił głowę.

— Nie ma co gadać. Macie rację. Puśćcie mnie z Antonim Siemionowiczem niech karze jak chce.

Cisza. Ruszyłem w kierunku drzwi starając się, aby się nie zmarnowało morze wściekłego gniewu, które było we mnie. Koloniści rozstąpili się w obie strony, dając drogę mnie i Burunowi.

W milczeniu przeszliśmy przez zaśniężone ciemne podwórce: — ja na przedzie, on — za mną.

Ciężko mi było na duszy. Wydawało się, że Burun jest ostatnim z odpadków, jakie można znaleźć na śmietniku ludzkim. Nie wiedziałem, co z nim robić. Na kolonii znalazł się za udział w złodziejskiej szajce, której większość pełnoletnich członków została rozstrzelana. Miał siedemnaście lat.

Burun stał w milczeniu przy drzwiach. Ja siedziałem przy stole i ledwo opanowywałem się, żeby nie rzucić mu w głowę czegoś ciężkiego i położyć w ten sposób kres rozmowie.

W końcu Burun podniósł głowę, spojrzał mi uważnie w oczy i powiedział powoli, podkreślając każde słowo i z trudem powstrzymując łkanie:

— Ja... więcej... nigdy... kraść nie będę.

— Kłamiesz! Obiecowałeś to już na komisji.

— Co innego komisji, a co innego wam! Karzcie jak chcecie, tylko nie wyganiajcie z kolonii.

— A co widzisz na kolonii ciekawego?

— Podobna mi się tutaj. Tu się uczą. Chcę się uczyć. Kradłem dlatego, że człowiekowi żyć się chce.

— No dobrze. Posiedzisz trzy dni pod kluczem o chlebie i wodzie. Taraniec nie rusza.

— Dobrze.

Trzy doby przesiedział Burun w małej ciupce, obok sypialni, tej samej, gdzie mieszkali woźni. Nie zamknął go. Dał słowo honoru, że bez mego zezwolenia nie będzie wychodził. Pierwszego dnia posłałem mu rzeczywiście chleb i wodę, następnego zrobiło mi się żal, dano mu obiad. Burun próbował z dumą odmówić, ale ja wrzasnąłem na niego:

— Co tu do diabła, będziesz się jeszcze krygował!

Uśmiechnął się, wzruszył wesoło ramionami i wziął łyżkę.

Burun dotrzymał słowa: nigdy już potem nie ukradł nic ani na kolonii, ani gdzie indziej.

Przekład B. RAFAŁOWSKIEJ

MIECZYSLAW WIONCZEK

O Chestertonie i wiewiórce

Czytelnik repliki prof. dr Wacława Borowego pt. „Prace i wypadki anglistyczne” („Kuznica” Nr 25) na moje uwagi o kulturze angielskiej pt. „Noty o muzach nad Tamią” („Kuznica” Nr 19) mógł zareagować na nią w jeden tylko sposób: „Dobrze mu tak, temu niemowlu, panu W., niech nie pisze o rzeczach, na których się nie zna”. Ale prof. Borowy wyraźnie przesadził. Przeczytałem dwukrotnie uwagi prof. Borowego i jakkolwiek pełen jestem podziwu dla jego zdolności polemicznych, nie wydaje mi się, aby jego replika była intelektualnie uczciwa, czego wymagać należy od uczoności i profesora.

Prof. Borowy dla udowodnienia mego nieuczciwa i turystycznej nieodpowiedzialności słowa, wytoczył argumenty, chętnie używane przez uczone strony w sporach z tzw. dyktantami. Potrząsnął bibliografią, poinformował czytelników o tym, że książka Maisie Ward o Chestertonie wydana w r. 1945 liczy 576 stron dużej ósemki, po czym podsunął mi myśl, abym z kupionego za dwa pensy planiku Londynu dowiedział się o ilości katolickich kościołów w Londynie, dobą mnie stwierdzeniem, że w Anglii wychodzą cztery periodyki katolickie. Te fakty, jakkolwiek zdolne oszłomić każdego, nie mogą powstrzymać mnie od oświadczenia, że umyślnie czy też nie, prof. Borowy w obronie „swojego Chestertona” i rzekomego intensywnego życia katolickiego w Anglii, zajął się drobiazgami, przeoczałac meritem ataku. A można się było spodziewać, że jeśli już zdecydował się zabrać głos w interesującej nas obu materii, odpowie rzeczowo i przekonująco. Dopóki tego nie uczyni, muszę podtrzymywać mój zarzut że „przygodne wyprawy naszych anglistów i intelektualnych globtrotterów w kulturę angielską wprowadzały raczej w błąd niż informowały”. Odpowiedź zaś może być tylko jedna: Napisanie książki, która by wreszcie informowała obiektywnie i bez żadnych „idees préconçues” polskiego czytelnika o kulturze angielskiej XX wieku.

Ale zanim przejdziemy do jądra sprawy, słów parę poświęć warto metodom szermierczym prof. Borowego. Profesor Borowy używa w argumentacji cyfr. Patrzcie mowi do czytelników — po śmierci Chestertona, (od której upłynęło szesnaście lat) wyszło pięć jego książek wyszło co najmniej osiem książek o nim, w Anglii są cztery czasopisma katolickie, w Londynie sto czterdzieści kościołów. Pan W. jest więc albo ignorantem, albo oszustem. Ale co będzie, panie profesorze, jeśli ktoś zapyta, ile wydano po śmierci K. Mansfield i Conrada ich i o nich książek? A ile w ciągu ostatnich szesnastu lat napisano studiów o Wellsie, Ki-

plingu, Joyce’ie, Galsworthym i Bernardzie Shaw? Dopiero po takim zestawieniu mówić będziemy mogli o popularności i reprezentatywności Chestertona dla międzywojennej Anglii i wówczas rachunek na rzecz Chestertona wypadnie niezbyt korzystnie. Cyfra czterech pism katolickich podana oddzielnie mówi o sile katolicyzmu w Anglii również niewiele, co cyfra siedmiu czasopism poświęconych architektury w USA o stanie i poziomie architektury amerykańskiej. I tutaj uczciwość intelektualna każe zażądać się także o to, ile niekatolickich periodyków wychodzi w Anglii i ile niekatolickich kościołów jest w tym kraju.

Ciekawa byłaby opinia prof. Borowego o zoologu australijskim, który po powrocie z Warszawy do Sydney wydałby tylko i jedynie monografię o polskiej wiewiórce, aby na tej wiewiórce uczyli się australijczycy o faunie polskiej. Mieszkańcy Australii mają niewiele mniejsze pojęcie o faunie polskiej, niż przeciętny polski inteligent o współczesnej Anglii. Nie egzagerujemy — powie prof. Borowy. Zróbmy przeto ankietę wśród polskich inżynierów, studentów medycyny, dentystów i agronomów.

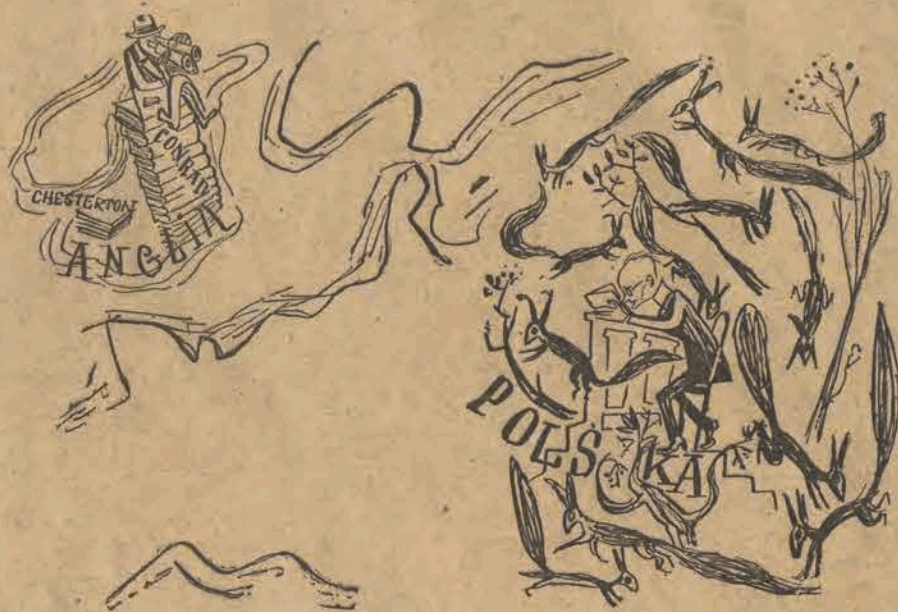
W ciągu pięciu lat wolny obserwowałem zbliska życie umysłowe inteligencji warszawskiej. Kultury anglosaskiej cieszyły się

powszechnym zainteresowaniem. Wiem, jakie pogonie za książkami Ujejskiego o Conradzie i prof. Borowego o Chestertonie odbywali moi przyjaciele i znajomi. Uczono się o Anglii oczywiście na tym, co było. O tym, że było i jest niewiele, wie prof. Borowy również dobrze, jak ja. Powinien wiedzieć lepiej, jeśli się weźmie pod uwagę ton, jakim się ze mną rozprawia. I dlatego stwierdzam, że moje oskarżenie pod adresem anglistów jest usprawiedliwione. Bo owe nieliczne książki nielicznych anglistów odgrywały rolę monografii o polskiej wiewiórce w Australii. Z książek, poświęconych Anglii nie wiele można się było o niej dowiedzieć. Można się było może dowiedzieć, ile jest kościołów i periodyków katolickich w Anglii, ale Anglia nie składa się ani wyłącznie z Chestertona i nawet Conrada, ani tymbardziej z „Tablet” i „Catholic Herald”. To stwierdzenie nie ma zresztą nic wspólnego z wartościowaniem. (Na marginesie przyznać muszę, że sam byłem przez długi okres czasu pod urokiem książki prof. Borowego, dopóki nie wpadła mi do ręki chestertonowska „Autobiografia”). Trudno zabronić komukolwiek miłośności do Chestertona, ale wolno wymagać, aby nie chestertonowano Anglii przy braku w Polsce książek o Anglii podstawowych i obiektywnych.

Moja uwaga o Chestertonie nie powstała wcale w kawiarni, ale w wyniku wielu lektur i wielu rozmów z Anglikami, których zdanie również jest cenne, co zdanie prof. Borowego. Zdaje sobie również dobrze sprawę, że życie kulturalne Londynu nie jest takie proste, jak się wydaje turystom, ale chyba nie jest tak skomplikowane, jak wydaje się profesorom. Żaden z argumentów prof. Borowego zawartych w replice nie zmieni w niczym faktu, że Chesterton nie jest uważany w Anglii za reprezentatywnego ideologa i myśliciela, co nasuwa się każdemu czytelnikowi prac prof. Borowego. Tutaj wystarczy przeczytać tylko pewne quantum czasopism kulturalno-społecznych angielskich z ostatnich lat. Nie tylko przecież katolickich, ale także i innych pism, które czytane są szerzej i intensywniej w Londynie i poza nim od „Tablet”. Jednego tylko, wydaję mi się, należy unikać — szukać w obcych kulturach tego, co chce się w nich znaleźć. Obowiązuje to zarówno turystów jak profesorów, zarówno w kawiarniach jak i w „British Museum”.

Czy nasza wiedza o Zachodzie będzie dalej na poziomie przedwojennym, czy też zdobędziemy się wreszcie na jakąś pierwszą rzetelną (nie podręcznik filologii) książkę o Wielkiej Brytanii, bardziej zależy to od specjalistów takich, jak prof. Borowy, niż od zwracających uwagę, że nie wszystko jest w porządku turystów. Ale mając pełne uznanie dla wiedzy i erudycji prof. Borowego jedno stwierdzić muszę: „połajanki” w stylu ostatniego wystąpienia prof. Borowego w „Kaznicy” jeszcze większy tylko wywołują zameł w głowach tych, którzy ani jak prof. Borowy — parę lat, ani jak ja — parę tygodni, nie mogą spędzić w Anglii, aby napić się wody u źródła. Nie używamy tedy jako ostatecznych argumentów bibliografii i roczników „English Catalogue”, a patrzymy na świat bez „idees préconçues” i bez „hobbies”. Inaczej Chesterton będzie Anglia, a Anglia — Chestertonem, a po Polsce harcować będą same wiewiorki. Co prowadzi do efektów takich, jak wspominały przez mnie gdzieś indziej, kiedy to wydana dla Anglików w czasie wojny książka o terrorze w Polsce rozpoczęła przedrukami encykliki papieskiej. Śmiech w Anglii był okrutny.

PS. Pointa repliki prof. Borowego o studium Wyspiańskiego o Hamlecie jest także nadużyciem polemicznym. Każdy, kto zechce, może sprawdzić, że zanotowałem po prostu, że interesują się nim szekspirolodzy angielscy. Opinie prof. Borowego jako szekspirologa i filologa przyjmuję jako opinie specjalisty, siły jego przeżyć czytelnickich podczas lektury noty nadal nie rozumiem.



rys. Mieczysław Piotrowski

Mieczysław Wionczek (New York)

KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

SPRZECZNOŚCI

I.
Polska była — jak dotychczas — krajem anarchicznej własności chłopskiej i drobno-mieszczaństwa.

Jeszcze przed reformą rolną w rolnictwie naszym dominował typ gospodarstwa drobno-chłopskiego. W 1931 r. znajdowało się w Polsce zgórą 3 miliony gospodarstw, z czego 747 tysięcy poniżej 2 ha i 1,136 tysięcy od 2 do 5 ha. Innymi słowy, na każde 100 gospodarstw — 64 należało do grupy małej. Od 1931 do 1939 r. utworzono w wyniku parcelacji co najmniej 50 tysięcy kolonii samodzielnich (przeważnie jednak w granicach 5 — 10 ha), w roku zaś 1945 usamodzielniono się dzięki reformie rolnej około 400 tysięcy gospodarzy. Jeżeli teraz odejmiemy ok. 1,500 tysięcy słownie drobnych gospodarstw na Ziemiach Wschodnich, a dodamy ze 100 tysięcy dużych gospodarstw na Ziemiach Odzyskanych, otrzymamy, iż w chwili bieżącej znajduje się w Polsce około 2 milionów gospodarstw, z których jednak każde ma powierzchnię o wiele większą niż przeciętne gosp. przedwojenne.

Z samej ilości gospodarstw rolnych, a nawet z przeciętnej ich wielkości nie można wnosić o tym, czy rolnictwo jest czy nie jest anarchiczne. Trzeba dodatkowo uwzględnić warunki komunikacyjne z jednej strony, a wpływ większych ośrodków miejskich z drugiej. Im dalsza odległość od miasta do wsi, im mniej warsztat rolny jest związany z rynkiem miejskim i, co ważniejsze, ogólnie - krajowym, tym trudniej ująć go w orbitę gospodarki planowej, tym dłużej pozostaje on w sferze gospodarki indywidualizowanej, anarchicznej. Dodajmy jeszcze do tego tradycyjny konserwatyzm chłopstwa, wieloletni niski poziom jego warsztatu pracy, brak pieniędzy na modernizację uprawy ziemi i hodowli etc., a otrzymamy stan rzeczy, świadczący o anty-planowym podłożu naszej struktury rolnej. Jego konsekwencją będzie stosunkowo słaby (nie ludzmi się porami) rozwój spółdzielczości wiejskiej, zwłaszcza związanej z produkcją i zbytem produktów rolnych.

W mieście sytuacja ukształtowała się podobnie. Miejsce drobno-mieszczaństwa żydowskiego zajęło drobno-mieszczaństwo polskie, element liczny, różnorodny i przeważnie bardzo niedawno wprowadzony do zawodów miejskich. Oprócz ziemian, którzy tu przyjeżdżali po odebraniu im folwarków, znajdowali byłych urzędników, którzy wolą handlować, niż klepać biedę przy biurkach, a także masy mało- i bezrolnych, którzy już w okresie okupacji niemieckiej przenieśli się do miast i miasteczek w konsekwencji zajęcia się drobnym handlem i pośrednictwem, rzadziej — rzemiosłem.

Drobno-mieszczaństwo polskie jest liczne, dosyć prężne, zabiegliwe, ale zarazem bez większych kapitałów i bez większych ambicji. Wykorzystuje ono koniunkturę wojenną i powojenną, spekulując na zwężeniu równowagi między podażą a popytem. Brak mu szerszych horyzontów i zrozumienia zadań, stojących przed gospodarstwem narodowym, jako całością, na którą patrzy ono bez szczególnej sympatii. Drobno-mieszczaństwo działa na wąskich odcinkach, dłużej małe robotki, nie widzi dalek końca swego nosa. Inicjatywę prywatną pojmuje w sensie „wolno-ć Tomku w swoim domku” lub w myśl powiedzonka: „czyń każdy w swoim kółku, co każę duch Boży, a całość sama się złoży”. W stosunku do życia gospodarczego w skali ogólnopolskiej zajmuje postawę bierną i obronną; można odnieść wrażenie, iż chodzi mu głównie o „umocnienie się na zdobytych pozycjach”, dużo mówi o tradycji, aczkolwiek nie bardzo wiadomo dlaczego.

II.

A jaka jest rzeczywistość i jaka być powinna polityka gospodarcza kraju, zniszczonego przez wojnę i okupację?

Już sam fakt zniszczenia wskazuje na konieczność odwołania się co najmniej w takim samym stopniu do inicjatywy publicznej, co i do inicjatywy prywatnej. Wprowadzić ta ostatnia pozwala na wygospodarowanie lokalnych i za kroyonych na małą skalę talentów, kapitałów i wysiłków. Jednak ogrom zadań każe uciekać się do form zespołowych wszelkiego rodzaju. Przede wszystkim będą to formy państwowe, następnie jednak spółdzielcze, które wszak są niczym innym, jak zorganizowaniem działających samopas jednostek, umocnieniem ich gospodarstw indywidualnych i nastawieniem na cele dalsze, głębsze i szersze.

Państwo i spółdzielczość mają w ręku atuty, jakich inicjatywa prywatna posiadać nie może. Nie jest jej winą, że nie dysponuje ona, jak pierwsze dwie, potężnymi środkami (nie tylko pieniężnymi), bez których nie załatwi się palącego a podstawowego problemu komunikacji, eksploatacji bogactw naturalnych, produkcji energii elektrycznej, masowe-

go wytwarzania dóbr przemysłowych o znaczeniu powszechnym i codziennym oraz narzędzi produkcji, taniego, pewnego i sprawnego zaopatrzenia wielomilionowej ludności miejskiej w żywność i t.d., i t.d. Nie jest ona w stanie sprostać zadaniom, wysuwanych przez pilną potrzebę dnia; brak jej sił, by opanować trudniejsze i wymagające dużego ryzyka zagadnienia. Nie dysponuje ostatnimi doświadczeniami nauki, laboratoriami, sztabami fachowców etc. Interesuje się przede wszystkim korzyściami i wygodą osobistą, a służbę społeczną uważa za marnotrawstwo czasu i energii. Odrzuca interwencjonizm państwowy i podporządkowanie się państwu, nie pragnie ingerencji i zagładania w jej osobiste sprawy, a tym samym wyklucza się z problematyki na miarę ogólną i powszechną. Jest chciwa i samolubna, i uprawia spekulację zarówno w grupie drobno-mieszczańskiej, jak i chłopskiej. Nie zna się na strategii gospodarczej, uwielbia natomiast — że użyję żargonu ze Starówki — „kompinastwo”.

Zniszczony kraj w 20-tym stuleciu nie może stosować metod z przed stu laty. Nie wolno mu — jak to doradzał przed wojną Ignacy Matuszewski — odrabiać zagubione etapy rozwoju społeczno-gospodarczego. Gdy w świecie kapitalizm liberalny świecił swe tryumfy, nas przy tym nie było lub byliśmy biernymi świadkami. Jeżeli chcemy być aktywni, to w żadnym razie nie wolno nam posługiwać się przedawionymi metodami. W epoce czołgów, radaru, samolotów rakietowych i bomby atomowej ustrój ekonomiczny z epoki karabinów Lebel'a wydaje się jaskrawym anachronizmem.

Sytuacja gospodarcza, społeczna i polityczna, w jakiej się Polska znajduje, wymaga zastosowania metod działania zespołowego, od spółdzielni gminnych zaczawszy, a na państwie skończywszy. Olbrzymie zadania, stojące przed nami, zmuszają nas do zorganizowania wysiłku na wielką skalę, do mobilizacji sił i środków, do występowania w szyku zwartym, nie zaś rozproszonym. Nie możemy czekać, aż „całość sama się złoży”.

III.

Jeżeli teza jest konieczność prowadzenia gospodarki planowej to antytezą będzie fakt, że lwa część społeczeństwa nastawia się na myślenie po wręcz odwrotnej linii. Dla więk-

szości społeczeństwa gospodarka planowa wydaje się czymś obcym, a nawet wrogiem. Uważa się ją za przeszkodę w swobodnym urządzaniu swego osobistego życia, za kontynuację totalizmu, za sprawcę lokalnych głupstw i błędów. Nie widzi się, że wynika ona z naszego rzeczywistego (nie zaś urojonego) położenia, nie uznaje się jej zalet, zapomina o jej wspaniałych sukcesach przez wieki. Za to deklamuje się o krajach anglosaskich, opartych o inicjatywę prywatną i gospodarkę — w najlepszym razie — kierowaną, jakgdyby tamtejszy system nie był konsekwencją historyczną, rezultatem nieosiągalnej dla nas sytuacji geo-politycznej i ciągłości o znamionach istotnej tradycji. Powołuje się przy tym i na cywilizację łacińską, i na chrześcijaństwo — po to jednak, by móc rozgrzeszyć swą drobnostkową dłańnię, zafasowanie techniczne - gospodarcze i niesłychanie powolne tempo wysiłku.

Odnosi się często wrażenie, że gros społeczeństwa nie nadąża myślowo za biegiem wypadków. Przewaga uczucia nad rozsądkiem i niewyrobienie polityczne mas (poza robotniczymi i częścią inteligencji zawodowej) sprawiają, że nie rozumieją one sensu epoki, wymagań sytuacji, potrzeb jutra. O jutro możemy się nie troszczyć, byleby dzisiaj było nasze. Dużo w tym echa sześciu lat koszmarnego nocy okupacji, kiedy żyło się z mglistą nadzieją w sercu, a w życiu osobistym kalkulowało w skali kilkudniowej, bo „nie wiadomo było dnia ani godziny”.

Z przeciwnych — tezy i antytezy musi jednak wyłonić się synteza. Czy ma być ona typowo polskim „gódnem ognia z wodą”? Czy — przeciwnie — doprowadzi do tryumfu jednego kosztów drugiego? W żadnym jednak razie nie może dojść do kapitalizacji państwa, gospodarki planowej zespołu. Ale może dojść do rozsądnego kompromisu, jaki z góry zakłada demokratyczna gospodarka mieszana. Nie odrzuca ona t. zw. inicjatywy prywatnej w takim sensie, jak ją rozumie chłop i mieszczaństwo, równocześnie zaś żąda inicjatywy od każdej jednostki, pracującej w zespole. Nie łamie, ale wychowuje, wykazując via facti niedostateczną zdolność pojedynczych obywateli do pokonywania olbrzymich przeszkód na naszej drodze. Nie usuwa własności prywatnej, o ile ta własność nie utrudnia szybkiego marszu. Pozwala na szlachetną emulację sektora prywatnego z

sektorem państwowym i spółdzielczym, traktując ten ostatni właśnie jako rendez-vous gospodarki jednostkowej, rozproszonej i łatwej do zanarciarowania z gospodarką zespołową, zwartą i zdyscyplinowaną. Anarchię w rolnictwie, handlu, rzemiośle i drobnym przemysle stara się okiełznać poprzez normy prawne - administracyjne, fiskalne i organizacyjne, poprzez rozbudowę środków komunikacji, poprzez celowe inwestycje typu publicznego, poprzez — wreszcie — wykazywanie korzyści istnienia odcinka spółdzielczego i upaństwowionego.

„Zrozumieć — znaczy przebaczyć”: mówią Francuzi. My powiemy inaczej: „Zrozumieć — znaczy działać”. Nie patrzymy obojętnie na postawę społeczeństwa tylko żywo reagujemy. Jesteśmy jak gdyby w położeniu wychowawcy, który poznał przyczyny takiego a nie innego zachowania się dziecka i, nie łamiąc jego charakteru, stopniowo nagina je do konieczności, wypływających z danego środowiska czy danych warunków. Punktualność i sumienne wypełnianie obowiązków napewno nie są cechami wrodzonymi i napewno olbrzymia część dzieci, tych cech nie lubi, a jednak dobry wychowawca musi je wyrobić w swoich wychowankach.

Zaczęliśmy od rewolucji. Rewolucja była reformą rolną z którą ślimaczono się przed wojną lat blisko 20, rewolucja jest upaństwowienie przemysłów kluczowych i przemysłu średniego oraz upaństwowienie przemysłu spożywczego, rewolucja jest dopuszczenie robotników do stanowisk kierowniczych, rewolucja jest powołanie partii politycznych do wszechstronnego, a nie tylko parlamentarnego udziału w budowie nowego ustroju. Przyjmując te osiągnięcia rewolucyjne, jako punkt wyjścia i warunek sine qua non, możemy teraz mówić o ewolucji. Ale znów jeden warunek zasadniczy: tempo ewolucji musi być szybkie, robota sprawna, kierownictwo w rękach państwa. Społeczeństwo, jeżeli wyreknie się mrzonek o odwróceniu i uwsteczaniu procesów dziejowych, ma do wygrania bardzo dużo. Twórcze pierwiastki, tkwiące w drobnej gospodarce chłopskiej i mieszczańskiej, dopiero wówczas staną się dźwignią postępu społecznego i gospodarczego, gdy dźwignię tę ułmie państwo, surowy a sprawiedliwy wychowawca swego narodu, patrzący daleko w przyszłość.

Kazimierz Sokołowski

Kronika francuska

Rozdział zawierający przegląd ugrupowań politycznych, ostrzeżenie nad adresem PSL-u, surowe potępienie band NSZ-tu inspirowanych przez zagranicę nosi jaskrawy tytuł „Obsesja rosyjska”. W zasadzie idzie tu o to, co M. Wionczek nazywa „Obsesją zeznania”. Mounier próbuje jednak analizy głębszej, szuka przyczyn niechęci i rozdrożeń pojawiających się w obecnej sytuacji — w 150 latach okupacji carskiej, w nieuzasadnionych pretensjach do Rosji spowodowanych upadkiem powstania warszawskiego itp., a analizę tę przeprowadza po to, by wreszcie wygłosić pod adresem Polaków lekcję politycznego rozsądku.

„Przyszłość narodu nakazuje mu wyrzucić z tego stanu zbrojnego pokoju. Nie ma potrzeby rezygnować z niepodległości Polski, jak to słyszy się na każdym kroku, gdy zdarzy się wam wygłosić taką tezę.

Patriotyzm polski cierpi na zbyt długie zapóźnienie. W chwili, gdy narody współczesne budziły się do uczuć narodowych i mogły rozwinąć się normalnie, Polska zasnęła już 150 lat aneksji. Patriotyzm jej mógł wyrażać się tylko w opozycji i w powstaniu. I oto w chwili, gdy przystępuje on do gry, gra urywa się, gracie rozpierzcha się ku szerszym formacjom historycznym, gdzie niepodległość narzona przez Polskę w czasie półtora wieku traci swój sens. Można zostać co najmniej zbitym z tropu. Dwadzieścia lat niepodległości to zbyt mało, by wychować młode pokolenie do nowych uczuć. Patriotyzm polski nie dojrzał i zachował skłonność do opozycji i powstania. Warunki rozwoju nakazywały Polakom wspaniale bić się i dawać się zabijać. Obywatel nie miał jeszcze sposobności wprowadzenia w codzienną rzeczywistość swych uczuć narodowych. Zapalał mu on odrzucał ogień w oczach i upalał jak pasia młodości.

Czas teraz, by Polacy przeszli przez rozumna falę patriotyzmu, nie rezygnując z tradycyjnej dumy ani niepodległości. Wszak rozsadek podpowiada mi, że nie ma narodów niepodległych w tym sensie, w jakim chcieli by nimi być, z wyjątkiem może dwu na świecie.

Rozsadek mówi, że naród średniej wielkości nie może oddać bicia na dwu frontach. Niemcy albo ZSRR — trzeba wybrać. A naszej historia dokonała już tego wyboru.

Polacy marzą o Zachodzie, o Zachodzie, który — trzeba to powiedzieć — nie istnieje. Słyszysz się wszędzie: Ach, wy! Wy macie wolność. Ach, wy macie wybory! Ach, wy macie komunizm, który niepodobny jest do innych! Ach, nikt nie wywiera presji na wa-

szą politykę! Ten mit Zachodu jest ich chorobą dziecięcą. Niechby wrócili do swej rzeczywistości, niech obejrzą ją twarzą w twarz, niech kochają Polskę w jej przyszłości, w jej obecnych warunkach, które są nie do uniknięcia, niech zaprzestaną oczekiwać armii amerykańskiej, która nie przyjdzie, niech tworzą Polskę z rzeczywistości, nie z marzenia, wtedy łaska zachodu będzie im dana w nadmiarze, ponieważ noszą ją w swoim sercu, a na próżno szukają jej pośród horyzontów bez odpowiedzi”.

„Wolność słowa i krytyki wydaje się tak duża, że niemożliwe jest, by panował w tym kraju ów domościelski klimat, jaki wywołuje polityczny system rządów. Robotnik, który na placu wiejskim poddawał gwałtownej krytyce reżim i Rosjan nie zniżył tonu, gdy powoli poczęli się zbierać w okół niego przeciwnicy”.

Prasa wydaje się autorowi tych wypowiedzi „bardziej” związana. Ale tygodniki stają się miejscem długich dyskusji”.

Nasze cytaty z artykułu nie mogą dotyczyć wszystkich problemów umownych przez Mounier, nie potracając nawet tak ważnych jak zagadnienie struktur ekonomicznej granicy zachodniej. Pomijamy je po prostu jako mniej dla nas interesujące. Sposób ich omówienia podobny jest zarówno w tym artykule, jak w artykule ks. A. Glasberg „La nouvelle élite polonaise” i w reportażu Courtade’a pt. „La Pologne vivra” w „Action”. Ksiądz Glasberg interesuje przede wszystkim przemiany społeczne dokonane w Polsce i ich wpływ na tworzenie się nowej elity. Kończy on swój artykuł receptą nie budzącą może zbyt wielkiego zaufania w tych, którzy znają stosunki polskie, ale znamienne jako wyraz wyobrażeń francuskiego pisarza katolickiego, o naszej rzeczywistości politycznej.

„Związana korzeniami z Europą przez całą swą historię, zlatynizowana w dziedzinie myśli i sztuki, związana z katolicyzmem rzymskim, całkowicie zwrócona ku Zachodowi, po przyjęciu i częściowym zrealizowaniu reform ekonomicznych i społecznych, zapożyczonych od swej sąsiadki wschodniej — Polska przedstawia się nam jako pierwszy pasjonujący przykład nieznanego jeszcze syntezy. Doprowadzić te syntezy do skutku przez wypracowanie typu nowego człowieka, marksisty w rodzaju rosyjskich i spirytualisty w rodzaju zachodnim, i to bez zdrady charakteru narodowego, a raczej przez wykorzystanie jego cech... oto wzniecone zadanie dla nowej elity polskiej”.

Julia Hartwig

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

Matce mojej

ZAPOMNIANA ZIEMIA

Oczy, jak nad morzem, nie mają oparcia. Falują tylko na grzbietach zielonych wzgórz i miękkich krawędziach dolin, białych od kwitnących kartofli. Nad głowami kwiatów zwiesza się nisko pułap białych mgieł, przeganianych leniwo z miejsca na miejsce.

Oczy nie mają oparcia. Wplątane w zwoje mlecznych dymów, kłębią się wraz z nimi, znużone przebijają je i znów falują dalej na grzbietach wzgórz, na kartoflanych dolinach.



Sześć lat temu, gdy jadąc z kulawym Fiedorkiem, natykałam się przez dwadzieścia kilometrów od stacji Chabówka do Orawki dymu, mgieł i fal i zapragnęłam oparcia dla oczu, wyskakiwała naraz z lewa, zza ostatniej góry karczma Szyglicza. Rosła, rosła w oczach i nagle zapadała się w ziemię brzmieniem swych trzystu lat życia. Cztery rogi dachu z szarych omszałych deszczulek podnosiła ni z tego ni z owego do góry, z pychy jakby zadzierając cztery nosy. Drobnymi, zielonkawymi szybkami bystro zerkając na przeciw, w otwarte drzwi orawskiego kościoła, z tytułu uprawnień, wynikających z braterstwa architektury i historii. Wąska podgródka obiegała ją wesoło dookoła i wracała trzeszcząc do punktu wyjścia. Nie przestawała ani na chwilę trzeszczeć, gdy się przez nią wchodziło do wnętrza karczmy na mętno-kwaśne piwo, tym trzaskiem i kołysaniem starych desek odgradzając ostatecznie od pozostawionego za plecami świata.

Dzisiaj pięcioletnie dziecko w Orawce nie wskazuje już karczmy rudego Szyglicza, a z jej istnienia 300-letniego zna tylko legendę śmierci i zniszczenia. Pod lasem drobna kupka rumowisk jak mogiłka niemowlęcia — to to, co pozostało z karczmy. Gdzieś jeszcze daleko stąd, w Brzezinkach czy Bełżcu ziemia obradza prochami rodziny Szygliców, góralskich karczmarzy z Orawki.

Oczy zatrzymują się nisko na rumowisku. Nic, prócz śladów ognia — kupka zwęglonych drzew.

O to teraz — pokazuje Fiedorek białym na rumowisko — najwięcej się we wsi kłóć. Już i Podwik i Spytkowice i Jabłonka i Orawka starają się o tę górę. Szyglicowe stało na księżym gruncie, teraz nie wiadomo, komu to kładz, wypuści. Może i nikomu, może gospodni się tu pobuduje, kto tam jeszcze wie? Dla nas chłopów to tu musi być karczma.

I od rumowiska Szyglicowego począwszy i z lewa i z prawa falistymi rzędami ciągną się orawskie domostwa. Ta z olbrzymimi wiechciami żółtych kwiatów to chałupa mojej matki.

— Do widzenia! Dziękuję wam Fiedorku! Odwiedźcie mnie!

Płyną dnie o mlecznych rankach i białe od księżycy noce. W te ranki mleczne na wąskich ścieżkach między górami, sperlonymi rosą tak nieprawdopodobnie, że się przestaje wierzyć dobremu malarzom, a prawdy nabierają kicze, wybiegają z chałup orawskich dzieci i w rąbek białej, podgiętej koszulki usiłują zbierać rosę.

W takie ranki wierzy się dziecinnemu obrazkowi z nad łóżka, bo oto dróżka wśród rosy prowadzi do kładki wąskiej i chwiejnej, zawieszanej nad wartkim potokiem i to małe w podwiniętej koszulinie wchodzi na kładkę. Na pewno zaraz wyjdzie z za pierwszej mgły ten Anioł Stróż z dziecinnego obrazka i przeprowadzi dziecko, bo jeżeli nie uczyni tego natychmiast, dziecko spadnie do wody i rozsypie, spadając w dół, zbierając rosę. Małe idzie coraz dalej, nawet coś śpiewa. Na

samym środku kładki zatrzymuje się, rozstawia nogi i zręcznymi stopkami wprawia kładkę w ruch huśtawki. Deska skrzypi, przysiadła prawie na kamieniach potoku i wypyska w górę, a wszystko to dzieje się w takt głośno śpiewanego „ciardasia”.

Orawskie dziecko, skoro tylko dobrze posiedzie sztukę chodzenia, samo biega po kładkach.

Głosy ludzkie mlecznych ranków pamięta się we mgie i w akompaniamencie, wyłaniającego się wraz z przebudzeniem a niekończącego się nigdy dzwonienia owiec i krów. Głosy ludzkie tych ranków we mgie i dzwonek tym mniej są zrozumiałe dla przybysza z równin. Węgrzy, Cześci, Słowacy i Polacy kształtujący je naprzemiennie przez wiele dziesiątków lat, wykształcili na mowę „orawską” dziwną i skomplikowaną.

— Wiesz co — mówię do matki tego pierwszego wieczoru przy ciewieczornym kominkowym posiedzeniu — że ta orawska kralna dzwonek i mgieł jest wyjątkowo piękna.

— Tak myślisz? A przecież nikt tu nie chce mieszkać. Ja na ostatku, ale też się stąd wyniosę.

Wieczorami chałupy w Orawce stoją w czerni. Nie świeci się nigdzie, nafta za drogą, nieszczęśliwych „sibalek” zawsze brak. Z księżycem u nóg szuka się drogi, ścieżek i kładki w Orawce. Z księżycem u nóg chodzi się omackiem po chałupie. Z nim razem znajdują Orawianie miejsce u sąsiedzkiego komina, gdzie z głosów dziwnej mowy orawskiej układają się losy tej pięknej, mało komu znanej polskiej ziemi.

Nie widziałam Maryny 10 lat, to też metamorfoza jej nie ma dla mnie żadnego przejścia. Niegdyś zalekciona, mała i niemowa, wyskoczyła naraz z za spódnicy matczynej osiemnastoletnia, rozrośnięta, w bluzce za ciasnej na rękach, śpiewająca cały dzień chropowatym głosem. Początkowo nie patrzyła na mnie wprost, podglądała raczej, gdy, odwrócona plecami do progu kuchni, czesałam się lub zmieniałam ubranie. Pogadala ze mną dopiero przy sadzeniu kapusty i tego zaraz wieczora księżycowe orawskie drogi przywiodły ją do sąsiedzkiego komina.

Siedziałyśmy zmęczone na wysokim progu kuchni bez słowa. Kiedy już w milczeniu tym dojrzała Maryna zaufanie, poprosiła żeby porozmawiać z jej rodzicami,

Poza nimi i koniem Maryna jest jedyną siłą roboczą w tej rodzinie, złożonej z sześciu osób. Szesnastoletnia Gienka, niedorozwinięta na skutek olbrzymiego wola, Józek i Handrasz czteroletnie dzieci bliźnięta nie liczą się w ogóle. Maryna pracuje w domu i lata do ludzi na „odrobek”.

Chce się z nią żenić drogowy, chodzi już do niej dwa lata, co na Orawach jest okresem czasu konkurów kompromitującym i starającego się i pannę. A Maryny rodzice nie wydadzą bo potrzebna do roboty w domu. Tymczasem śmieją się z drogowego ludzka — rozmyśli się. A na Orawach bieda i nic się nie zmieni. Niech starzy wezmą konia i krowę i idą na Zachód, na te nowe role. Tyle już pojechało, wszyscy piszą, że im lepiej niż tu, dużo lepiej, niż nawet podobno mleko. I jadają chleb. Ja mam im to poradzić.

— A ty byś, Maryna, pojechała?

— E, jo to ni. Cy to je gdzie we świecie taka ziemia, jak te Orawy! I psucie, mój je tu.

— No widzisz! Więc i rodzice mogą nie zechcieć wyjechać.

W mroku kuchni twarz Maryny odcina się ostro kształtem jasnego serca w ramie włosów ciemnych i dziwnie gładkich.

Skąd ta Bubina wzięła taką dziewczynę? — myślę zawsze patrząc na Marynę. Buba ciężka, z twarzą szeroką po tatarsku, ale nalana i olbrzymia nie mógł przyczynić się do urody córki. Bubina delikatna, śliczna, od lat najwcześniejszej młodości wypłowiała na staroświeckim gobelin — ona sama miałaby możliwości urodzenia ładnego dziecka, pomoc Buby jednak niweczyła te możliwości raz na zawsze.

Zresztą Maryna na przekór kształtom i proporcjom ojca, bezbarwności matki, kwitła urodą własnych form i własnego koloru intensywnego jak barwy jesieni. Twarz dziewczyny miała kolor złota i brązu, razem z ich polyskiem.

Kiedy w ulewne dni Maryna stawała na progu chałupy i zapatrzona w zadymiony las szeptała: „Kurzi się, będzie łoc” — można było patrzeć na nią godzinami. Twarz jej z obrazu Oraw brała wtedy ciężar mgły i ciężar melancholii.

W mroku kuchni Maryna jest trochę podobna do Indianki. Jest ciemna, gładka i zapalczywa.

— Więc dobrze, niech nie jada na Zachód. Będzie mieć dzieci, w ten tok czas mnie wydadzą.

Myślę, że drogowy nie sprzeciwił się tym planom Maryny, ale jak odpowie na nie dziecko, tak celowo zaprojektowane i całe życie dziewczyny, przyparte do muru w osiemnastej wiosnie — muszę nieodwołalnie rozstrzygnąć.

Karolowa Marysia gryzie drobnymi kęsami czarny orawski chleb.

— To je piernik! — mówi cicho.

— Lubisz to?

— O je!

Bubina kręci się, jak zwykle niespokoj-

nie i jak zwykle nie może usiedzieć na miejscu. Paple i paple z moją matką, że słowa jak piłki odbijają się od drewnianych ścian i nie mogą zgubić echa.

— Maryna je piękno, nie wydo sie, ni! Maryna je piękno, nie wydo sie, ni! — słowa te powtarzane przez Bubinę kilkakrotnie nabierają rytmu wesołej piosenki, grzechoczą po ścianach, dzwonią po szybach, nareszcie rozchodzą się w mroku.

Maryna przynosi cebrzyk pełen wody i koszyk kartofli. Po orawsku to jest rzepa. Matka i córka, obie obierają rzepę na pa-mięć, nie potrzebują światła. Trochę obierają, trochę płuczą w lupinach.

— U nas się ta nimo o co wadzić — mówi Bubina. Wszystkie jedzą jedno: rzepę. I my, i kuń, i kury i świnię.

— Ba — wzdycha Maryna — żebyście to jeszcze dali się najść tom rzepom!

Oczy dzieci Bubów są głodne, gdy patrzą na chleb. Gdy małe dzieci Bubów są głodne, matka kładzie je spać. Marysia Karolowa w swoim pięcioletnim życiu jadła chleba tyle tylko, co u mojej matki, smaku cukru w ogóle nie zna.

— Co ci przysłać, Marysiu, z Łodzi — pytam.

— Proś córuchno o sznurkę (wstążkę) — radzi matka.

Ale Marysia Karolowa nie spuszcza oczu z kromki, trzymanej mocno w garści.

— Dajcie chleba! — mówi stanowczo.

„Zasiałem se owiesek, ino mi nie wzesed” — śpiewa Maryna Bubowa.

— Wyście som Buba głupi — stwierdza Wawrzek najbliższy sąsiad Buby — wom trza na Zachód.

W tym tygodniu jeszcze wyjeżdża kilka rodzin ze Słotyństwa z za wody, Bubowie, mogli by się śmiało z nimi zabrać.

Ta sprawa jest dla Bubiny nie do zniesienia. Ona też chce jechać, ale uroła sobie, że jeśli pojedzie, „coś” ją wyklinie, bo jakże Polakowi pozostawić ziemię polską Słowakom?

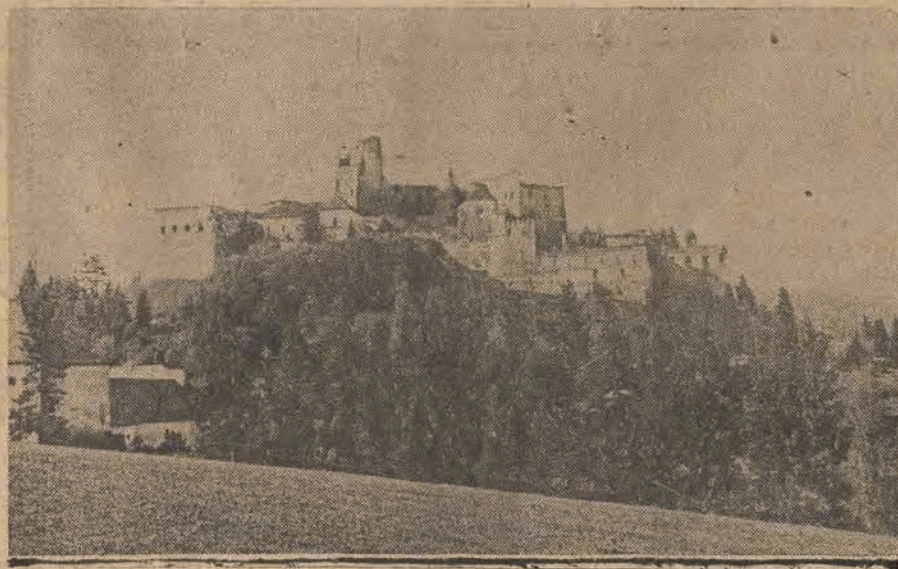
— To je zimno polsko — mówi mł. Jakże tu iść z tela?

Coraz więcej na Orawach chałup pustych, bez drzwi i okien, deskami zabitych — dawni ich właściciele poszli z dobytkiem na Zachód.

— Ty, Buba, pomyśl, tyś je chłop — mówi Bubina do męża — trza by może i jechać.

Twarz Bubiny jest zupełnie szara.

Pewnego wieczora przychodzą do mnie trzej górale. Fiedorek, który często jeździ na stację do Chabówki słyszał od ludzi, że podobno po wsi mają chodzić tacy, co będą pytać o coś i trzeba im będzie odpowiedzieć. Nikt we wsi nie wie, o co będą pytać i co im trzeba odpowiedzieć. Baby boją się, że po prostu przyjdą ci z lasu, o nic pytać nie będą, zabiorą z chałupy co jest i pójdą. Wiadomo, że baby na Orawach są mądrzejsze od chłopów, pewno mają rację.



Chodził tu po wsi taki jeden i mówił, że będą pytać trzy razy i trzy razy trzeba odpowiedzieć nie, ale to był obcy, więc kto wie, czy mu wierzyć? Słowacy mówią też, że na wszystko należy odpowiedzieć nie.

Po godzinnych debatach Fiedorek dochodzi do wniosku, że na pierwsze pytanie odpowie nie, bo nie wie, co to jest senat, na drugie wszystko mu jedno, może odpowiedzieć nie lub tak, zależnie od tego, co mu poradzą. Na trzecie pytanie odpowie tak, bo jego Julka pojechała przecież na Zachód. Dużo jeszcze padnie słów, zanim Fiedorek stwierdzi, że już wie, co to senat i, poskrobawszy się fraszolliwie za uchem, powie:

— Nom, chłopom nie może być wszystko jedno.

Schodzą się baby i coraz więcej chłopów. Robi się duszno i ciemno. Wszyscy naraz krzyczą. Zapomniany dziś komin dawno zgasił. Mówi się o książkach, gazetach, kalendarzach.

Książka? Nie, książki ma w Orawce tylko „babcia” czyli moja matka, kto ma czas i rozum czytać? Może jedna tylko Janiela. Przypominam sobie dawną naszą służącą Anielę, wieczyscie w stanie wojennym z moją matką, bo legując wiele godzin w ciągu dnia na łóżku z książką w garści, zaczytana bez pamięci. Z tych książek za mądra była i żaden chłop jej we wsi przez to nie chciał. Teraz ma męża i dwoje dzieci, ale nie czyta, bo tak słubowała mężowi, gdy się z nią żenił.

Gazety widuje Fiedorek na stacji w Chabówce, czasem w Czarnym Dunajcu owina w gazetę towar, ale tego z gazet się nie rozumie, jak się samemu czyta.

Po co zresztą czytać? Żeby się dowiedzieć, że jak świat długi i szeroki wszędzie na pewno jest bieda tak jak na Orawach i wszędzie ludzie mają kłopoty.

Dobrze było by wiedzieć, czy wszędzie są dwa wojska, bo na Orawach jest wojsko KOP-u i są bandy leśne.

Tę noc budzi mnie ze snu nie jak zwykle dzwonięcie i mgła, ale głęboka ciemność i śnieg.

— Cicho, cicho — szepcze matka — nie poruszaj się. Idą ci z lasu. Przeszli.

Z okna przeciwległej chałupy szepcze do nas, sierota Johana pozostawiona samotnie przez ojca, ożenionego w drugiej wsi.

— Babciu, boita się?

Widzisz teraz — mówi nocą ze swego łóżka matka, jaka tu jest straszna bieda! Szkoda, że się nie zjawiała na zasiewy. Tu ludzie kręcili się jak w ukropie, z nikąd ziarna nie mogli dostać. Orawy to kraj zapomniany przez Boga i ludzi.

A przecież to tak prawie jak ziemię zachodnie, też dopiero odzyskane, zniszczone, pełne obcych ludzi i obcych wpływów, nie rozumiem, dlaczego o tamte ziemie tak się dba, o te nie dba nikt. Żołnierz, milicjant, nauczyciel, lekarz, referent, biblioteka, obsłużona przez fachową świetliczanek, pomoc państwa przy zasiewach w pierwszych powojennych latach, kółko rolnicze, prowadzone przez kogoś znającego potrzeby i niedobory gospodarki rolnej, postawiły by ten kraj na nogi i związały go z resztą Polski w sposób istotny i trwały. Na świecie ciągle gdzieś coś się dzieje, tu nie dzieje się nic, oprócz wiecznego koła biedy i zniechęcenia, obracającego się bez zmian.

Ta ziemia jest piękna, ale niezyciwa i tu nie ma życia. Niedługo wyjdziemy stąd wszyscy, chyba, że będziemy mieli oparcie w państwie.

Więc jeżeli tyle potrzeba tej ziemi, aby ją uczynić zyciwa dla jej mieszkańców, dlaczego nie uczyniono tego dotąd?

Gdy jadę powrotną drogą z Orawki do Chabówki, czy, jak nad morzem, nie mają oparcia. Po falistych grzbietach wzgórz i miękkich krawędziach kartoflanych dolin płaczą się zagubione myśli i nie znajdując oparcia na ziemi orawskiej, ziemi dzwonek i mgły, ziemi zapomnianej.

Wanda Żółkiewska

EWA KORZENIEWSKA

W okresie, w którym tyle mówi się o realizmie, i który jest ciąglem oczekiwaniem na wielki rozkwit powieści realistycznej — w tym okresie jedną z cenniejszych pozycji „Czytelnika” jest wznowienie wydania „Cichego Donu” Szolochowa. Powieść Szolochowa, to utwór, który nie tylko zapowiada — jak wiele z naszych dotychczasowych publikacji — lecz który w świadomy i konsekwentny sposób spełnia postulat realizmu.

Gdyby próbować porównania powieści Szolochowa do jakiejś powieści epickiej z naszej literackiej przeszłości, najłatwiejszym skojarzeniem byłoby zestawienie „Cichego Donu” z „Nad Niemnem” Orzeszkowej. Porównanie nasuwa się drogą najprostszą — podobieństwa tytułów — ma jednak i inne znacznie poważniejsze uzasadnienia. Sam tytuł rzadko i tylko u marnego pisarza bywa czymś przypadkowym. Normalnie mówi się o dobrej powieści więcej, niż sędzą ci, którzy ośmieszają gorliwych a mało inteligentnych czytelników, dobierających lekturę wedle sensacyjnych tytułów. Tytuły powieści Szolochowa są typowe dla powieści realistycznej — powieści, której tematem jest życie zlokalizowane w czasie i przestrzeni. Nawet więcej — tytuły te są właściwe tylko powieściom epickim, które przedstawiają społecznie wyodrębniające się zespoły ludzi, ich troski, przeżycia i konflikty na tle otoczenia, w które są wrośnięci i które odgrywa samodzielną rolę w utworze. Taką samodzielną rolę posiada w powieści Orzeszkowej Niemen — w powieści Szolochowa — Don.

Oczywiście nie może tu być mowy o jakichś zależnościach treściowych czy ideologicznych. Znamienne jest po prostu podobieństwo, które wynika z rodzaju literackiego i które w konsekwencji pociąga zbliżności techniki pisarskiej.

Powieść epicka wymaga dużej sprawności i dojrzałości pisarza, gdyż jest niewątpliwie jednym z najtrudniejszych sposobów przedstawiania rzeczywistości. Wymaga też wyrażenia się uczuciowego udziału autora na korzyść opowieści o obiektywizmie i przemysłanego światopoglądu. „Nad Niemnem” i „Cichy Don” posiadają te właściwości a ich autorzy w podobnie śmiały i swobodny sposób realizują swoje zamierzenia artystyczne.

Wprowadzenie motywu tego typu na jaki wskazuje tytuł powieści Szolochowa może iść w trzech kierunkach. Mięwa charakter symboliczny, może łatwo prowadzić do wykorzystania motywu w sposób nastrojowy (jak to często ma miejsce w „Nad Niemnem”) i wreszcie staje się jednym z elementów powieści. Szolochow wprowadzając do powieści Don, umiejscawia przede wszystkim w ten sposób przedstawioną rzeczywistość, której akcja rozgrywa się wśród Kozaków Dońskich. Część II-gą zamyka odjazd rekrutów, którzy z drzwiami wagonów widzą już teraz obcą, równiną ziemię. Własna ziemia kozaka, to stepy nad Donem. Pomimo sugestywnego tytułu Szolochow opisuje Don tylko wówczas, skoro Kozacy w jakiś sposób korzystają z rzeki. A więc Aksinia idzie po wodę do Donu; woda z Donu starucha „zamawia” jej miłość do Grigorija; w Donie Kozacy łapią ryby. Godząc surowy realizm z wysokim stopniem artyzmu, autor przy tych okazjach daje krótkie ale bardzo sugestywne i piękne opisy rzeki. „Aksinia skrzypiąc wiadrami zeszła do Donu. Piana wyla się niby wspaniała, żółta koronka na zielonym płótnie fali”. Albo w innym miejscu — „Rozczochrany przez wiatr Don rzucał na brzeg grzebieniaste gęste fale”.

Motyw Donu występuje tylko w zupełnie konsekwentnych okolicznościach, ponieważ jednak życie Kozaków jest ściśle związane z ziemią i wodą — motyw ten powraca wielokrotnie, stając się równocześnie więzią artystyczną. Epickim elementem tego typu staje się Don w tym np. sformułowaniu „Nad chłotorem szły dni, spłatały się z nocami, płynęły tygodnie, pęzły miesiące, wiatr dał, góra huczała na pogodę, a oszklony jesiennym przezroczystym lazurem Don płynął obojętnie do morza”.

Podobnie jak Don, cała przyroda w powieści Szolochowa służy konkretnym celom: epickim i realizmu. Jesienne wichry i szarugi, budzenie się ziemi na wiosnę, żniwa, wskazujące na przemijanie czasu, tworzą piękną kompozycję powieści epickiej. Z drugiej strony przyroda w „Cichym Donie” jest terenem ciężkiej pracy kozaka, a krótkie, wyraźne opisy są szarmonizowane z życiem i trudem człowieka. „Dzień wrzał w znoju. Chmurki poszarpane przez wiatr pęzły ospa-

le dając się przegonić nawet wołom ciągnącym arbę Pantaleja Prokofiewicza. Obrazy przyrody kilku zdaniem zarysowane bardzo plastycznie w kształcie i barwie zawsze przedstawiają człowieka w bliskim kontakcie z otoczeniem.

Przyroda staje się u Szolochowa także elementem charakterystyki. Bliskie współżycie Kozaków z naturą, prymitywizm ich życia wewnętrznego całkowicie usprawiedliwia zastosowanie chwytów tego rodzaju. Najwyraźniej zaznacza się ta technika w porównaniach zawsze konkretnych i zaczerpniętych z najbliższego otoczenia, lub w takich np. określeniach, które poza urokiem poetyckości są bardzo trafne i dobitne: „Nie blawatkami, nie makami, ale szalejem przydrożnym, blekotem kwitnie późna babska miłość”. Jeszcze wyraźniej charakter epickości i realizmu posiada charakterystyka przeżyć Aksini. „Zielona, ostrolistna pszenica wschodzi i rośnie; po sześciu tygodniach gawron chowa się w niej z głową i nie widać go. Roślina ssie soki ziemi, kłosi się, ziarno nabrzmiewa wonnym i słodkim mlekiem; potem kwitnie, złocisty pyłek pokrywa kłosa. Gospodarz wychodzi na step — patrzy i nie może się nacieszyć. Nagle mi stąd ni zowąd wpada w zboże stado bydła; depcze wszystko, wlatcza ciężkie kłosa w rolę. Wszędzie, gdzie bydło przeszło, plamy strątanego zboża, a przykro i dziwnie patrzeć. To samo było z Aksinią. Griszka zdeptał ciężkim butem dojrzale, złote, kwitnace uczucie, zdeptał, zbezczeszczył — i tyle”.

To zbliżenie życia przyrody i życia człowieka, zbliżenie osiągnięte za pomocą czestych zestawień jest wynikiem biologicznej koncepcji rzeczywistości. — Postawa ta, całkiem odmienna od estetyzmu i stylizacji Reymonta w „Chłopach”, wydaje się najtrafniej osiągać cel realnego przedstawienia życia ludzi związanych z ziemią. Bliska zależność od przyrody, właściwa ludzimi prymitywizm, wytwarza wyraźny typ człowieka. Tego człowieka, dla którego właściwie nie istnieje ideologiczne problemy społeczne, który godzi się łatwo i naturalnie z zastaną rzeczywistością. Dlatego w powieści Szolochowa ostroza agitacja Sztokmana trafia na grunt tak mało podatny, że dopiero „Po długim okresie przesławiania i wyboru w ruderze zezowatej Łukieszki powstało jądro, składające się z dziesięciu kozaków”. Sztokman „Z początku spotkał zimną stal niedowierzania, ale nie zrażał się i gryzł dalej”.

Ludzie u Szolochowa kierują się najprostszymi instynktami: miłości, nienawiści, zazdrości. Żyją poomacku nie krytykując i nie pragnąc niczego innego. Energia życiowa Grigorija wypala się całkowicie w porzuceniu ojcowskiej zagrody i w zerwaniu z żoną. Przyjawszy służbę w Jagodnem wraz z Aksinią Grigorij wernie służy panu i z obojętnością znosi jego kaprysy. — Podobnie jak lokal, który trzyma miseczkę za plecami pana, wypływającego na nią przeżute kęsy. Autor przedstawia życie i stosunki w domu generała i bogatego kupca, traktowanie kozaków i pracowników przez tych „potentatów”. „Mitka Korszunow, znieważony przez kupca Siergieja Platoniczowa, zdobywa się tylko na nieśmiałe słowa przeprosin — bo w głowie mu się nie mieści, że mógłby on uderzyć bogatego człowieka. Krewkość i nieugiętość kozacka wyładowuje się w łatwych kłótniach i bójkach, ale między sobą. Właśnie ta umiejętność przedstawiania ludzi takich, jakimi są naprawdę, a nie problemów wcielenych w sztuczne figury, robi z Szolochowa realiste. Autor umie pokazać wyraźnie zarysowane charaktery i zespoły ludzkie — dzięki czemu w rezultacie osiąga najtrafniejszą i sprawliwą charakterystykę całego stanu kozackiego. Szolochow przedstawia konkretnych ludzi na wyraznym tle i dzięki artystycznemu powiązaniu rozmaitych wątków, które grupują się przeważnie wokół rodziny Melechów — oświetla wielostronnie życie kozaków. Nawet pokazując grupy, autor nigdy nie mówi o nich jako o całości, lecz posługuje się metodą zbliżoną do Mickiewiczowskiej w „Panu Tadeuszu”, wyodrębnia kilka postaci charakterystycznych przez swoje gesty, mowę czy nawet kalektwo i w ten udrummatyzowany sposób, plastycznie przedstawia zespoły ludzkie.

Na zebraniu kozackim „Stary Matwiej Kasulin przechylał się przez chwiejny stół i pisał zapalczywie, godząc w Tomilina gładkim jesionowym kijem — poczekasz sobie z sianem!... Chyba... Jak cała gromada. Zawsze byłeś przekorą. Bracie jesteś za młody i za głupi. Wiedzcie go! O! A ty sam do późnej starości pożyczasz rozum od sąsiadów... — przygadywał bezręki Aleksy, wysuwając głowę z tylnych szeregów, mrugając oczyma i drgając kurezowu dziurawym policzkiem... Pantelaj Prokofiewicz stał przy-

oknie z brzoza, koło drzwi unosząc kulawą nogę, jak bocian”.

Wspomnienie Mickiewicza budzi też dobrotliwy humor, właściwy epice, humor najczęściej osiągnięty przez konkretne porównania np. czerstwej twarzy do jabłka, albo: „Pantelaj Prokofiewicz huczał mu w ucho niby wielki czarny trzmiel”. Miron Grigoriewicz zastanawiając się, czy wydać córkę za mąż, spogląda przypadkiem na portret zadowolonej cesarzowej i myśli: „Teraz to patrzysz dumnie jak gęś z kobiłki, ale jakby tak przyszło córkę za mąż wydać, wtedy zobaczylibyśmy... zobaczylibyśmy jakbyś skakała!...”.

Humor Szolochowa oświetlając wady i śmieszności ludzkie jest też wyzyskany jako środek urealnienia postaci. „Pantelaj Prokofiewicz chciał się niewiedząco czemu przeżegnać. Ale zaledwie zgrubił kleszczowate palce złożyły się do znaku krzyża i zdolały zrobić połowę drogi, gdy nagle zmieniły kształt: czarny szponiasty wielki palec, wbrew woli gospodarza przesunął się między wskazujący i środkowy, a cały ten bezwstydną węzelek palców wśliznął się po złodziejsku w zanadze niebieskiego czemkienia i wyciągnął stamtąd za gardło butelkę z czerwoną główką”.

Plastyka obrazów w „Cichym Donie” osiągnięta za pomocą trafnego doboru wrażeń zmysłowych nigdy nie przeradza się w jałowy estetyzm, zawsze służy celowi pokazania faktycznej rzeczywistości, jaką widzi i odczuwa autor. To podporządkowanie zarówno środków ekspresji jak i kompozycji utworu celowi pozaestetycznemu, charakteryzuje każdego prawdziwego realiste.

Kompozycja powieści Szolochowa jest prze-myślana do najdrobniejszych szczegółów. Autor narzuca sobie ramy niemal trzech klasycznych jedności — w tym oczywiście stopniu, w jakim to jest możliwe dla znanej „rozwrotności” powieści epickiej. Lokalizując wydarzenia w czasie i przestrzeni — ogranicza się do jednej akcji, miłości Grigorija i Aksini, wzbogacając ją rozmaitymi epizodami jak np.: niefortunne małżeństwo Grigorija, spór z mężem Aksini, porzucenie domu i służba w Jagodnem. Te motywy wiążą się z dramatycznymi przeżyciami głównych postaci. Z innymi osobami, nie wciągniętymi bezpośrednio w akcję, których przeżycia i prace stanowią punkt wyjścia dla charakterystyki kozaków; łączy Grigorija związki pokrewieństwa lub przyjaźni.

Życie w domu kupca Siergieja Platoniczowa, jego stosunek do pracowników i pierwsze nieśmiałe przejawy niezadowolnienia wykorzystywanych robotników — obok akcji, która rozwija Sztokman — stanowią fragment osobnego motywu, który niewątpliwie znajdzie swe uzasadnienie i rozwinięcie w dalszych tomach całości. W „Cichym Donie” jest on tylko dobrze artystycznie wkomponowanym wstępem do narastających przyszłych wydarzeń, tych wydarzeń, których zarodki tkwią w stosunku atamanów do kozaków i które później w armii staną się początkiem klęski.

Jednym ze zbanalizowanych i nadużywanych przez pozytywistów sposobów ukonkretniania postaci i miejscowości było podawanie ich pochodzenia i historii. Nie podpadając w przesadę wywodzenia teraźniejszości od prapokoleń — na co często pozwalał sobie np. Korzeniowski i Kraszewski, sądząc, że ten genealogiczny dowód sam przez się już jest świadectwem prawdziwości — Szolochow odwołuje się do przeszłości z wielkim umiarem i zaledwie parę razy. Pierwszy rozdział powieści opisuje pochodzenie Pantaleja Prokofiewicza, tworząc kompozycyjnie umotywowany wstęp. Część druga tomu pierwszego rozpoczyna się podobnym wprowadzeniem opisującym genealogię kupca Siergieja Platoniczowa. Równie symetrycznie pomyślane jest zakończenie obu części, nawiązujące do służby kozaków w wojsku. Część pierwszą kończy opowiadanie dziadka Griszki o kampanii tureckiej, część drugą odjazd rekrutów do wyznaczonych im pułków.

Kompozycja powieści Szolochowa jest jasna i prosta, gdyż opiera się na chronologicznym narastaniu wydarzeń. Nie tworząc tak jak u konstruktywistów celu sama dla siebie, podporządkowuje się zamierzeniom pozaestetycznym w podobny sposób jak cała powieść, której wysoki poziom artyzmu jest jednym więcej środkiem dla pokazania życia i charakteru Kozaków.

Książka Szolochowa potwierdza raz jeszcze, że realizm powieści, jest czymś zupełnie odmiennym od reportażowej techniki, gdyż właśnie duża świadomość artystyczna, własnie zdecydowana postawa filozoficzna i fachowa umiejętność budowania powieści sprawiają, że wizja świata przedstawionego narzuca się czytelnikowi jako najprzeczniejsza.

Ewa Korzeniowska

*) „Cichy Don” Michał Szolochow. Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” 1946.

ZAMIAST RECENZJI

Zainteresowanie przeszłością Pomorza bałtyckiego byłoby zupełnie naturalne i całkowicie zrozumiałe, gdyby naprawdę istniało. Polska bez morza uznana została za twór politycznie niemożliwy, czemu przed 30-tu laty dała wyraz deklaracja wilsonowska. Sprawa Gdańska i Pomorza polskiego a zatem i Prus Wschodnich miała w okresie międzywojennym ostatnimi wojnami światowymi poważne miejsce zarówno w polityce międzynarodowej jak i polskiej. Polityka polska musiała posługiwać się obrazem fragmentarycznym, przedmiotem jej było tylko polskie Pomorze; sprawa Prus Wschodnich (a zatem i Prus w ogóle) wybiegała ponad miarę ówczesnej pozycji Polski w układzie sił międzynarodowych; polskie Pomorze było i musiało być korytarzem dla Polski (do morza) i dla Niemiec (przez Polskę), a zwalczanie ze strony Polski terminu i konstrukcji politycznej korytarza mogło mieć tylko charakter zabiegu kosmetycznego. Wojna (o Gdańsk) od września 1939 r. zdyskredytowała ostatecznie rozwiązanie wersalskie. Wielkie państwo nie może być przedzielone korytarzem (Niemcy), a dostęp do morza w formie korytarza nie zabezpiecza niezależności państwa (Polska).

Likwidacja Prus Wschodnich była z punktu widzenia zdrowej struktury międzynarodowej i pokoju koniecznością równie logiczną, jak likwidacja Polski z punktu widzenia Niemiec z Prusami przedzielonymi korytarzem.

Przed 39 r. posiadała Polska około 70 km. wybrzeża (szczerze mówiąc w statystykach cyfrą obwodu języka helskiego, a więc podwójnie liczoną jego długością, co dawało drugie tyle „wybrzeża”), obecnie natomiast morska Polska jest osiemkrotnie większa. Przesunięta o kilkaset km na zachód, zyskała Polska przeważną część dawnych Prus Wschodnich, Pomorze Zachodnie, oraz cały niemal Śląsk — czyli komplet trzech prowincji, związanych z sobą strukturalnie już w Państwie Pruskim, kiedyś w przeszłości zaś, należących przez kilka wieków do Polski, względnie podległych jej, chociaż w różnym czasie i sposobie.

To jedna linia naturalnego zainteresowania dziełami nowych ziem Polski.

Dzieje Prus dają nadto silny wydzźwięk emocjonalno-ideowy. Z „ducha pruskiego” wywodzi się hitlerizm, a metody eksterminacyjne pruskie i hitlerowskie zawsze znajdowały w Polsce historyczny symbol w Krzyżakach. Państwo Zakonu Krzyżackiego — Królestwo Pruskie — Królestwo Pruskie — Rzesza z hegemonią pruską, po Trzecią wojnę — to (zwłaszcza dla nas) ciągle linia historii. To państwo było wielokrotnym inicjatorem rozbiórów Polski; przesłedzenie wstecz jego rozwoju obecnie, kiedy w swoim kształcie imperializmu germańskiego na wschód zostało zlikwidowane — jest niewątpliwie na czasie.

Przed wojną dziełami Pomorza i Prus zajmował się w Polsce przede wszystkim Instytut Bałtycki (od 1926 r. w Toruniu, później w Gdyni) jako Instytut Badawczy i wydawniczy i mógł się już wykaazać sporą cyfrą prac opublikowanych. Wznowiony po wojnie, rozbudowany na wydziały — pomoroznawczy, skandynawski, morski — z siedzibą w Gdańsku — Sopocie i Bydgoszczy (zrazu w Toruniu) dorzuca już nowe pozycje do dawniejszych.

Ale także inne instytucje wydawnicze wśród pierwszych swoich publikacji mają prace z tego zakresu. W Instytucie Bałtyckim ogłosił większą pracę p. t. *Państwo Krzyżackie w Prusach* Karol Górski; Sp. Wyd. „Książka” jako Nr. 1 Biblioteczki Popularno-Naukowej wydała szkic prof. Stanisława Zajączkowskiego, *Dzieje Zakonu Krzyżackiego*; Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych — Górskiego *Krótkie dzieje Prus Wschodnich*; ponadto w ankiecie „Odrodzenia” zapowiada rzecz o państwie Krzyżackim Józef Sieradzki.

Karol Górski — to autor wielu rozpraw z dziejów Prus, m. in. „Ustroju Państwa i Za-

konu Krzyżackiego” (1938) ze zbiorowego wydawnictwa Instytutu Bałtyckiego: *Dzieje Prus Wschodnich*. Nowa jego praca jest pierwszą w Polsce w tym przedmiocie, stanowiąc odpowiednik studium Maschkego „Der Deutsche Ordensstaat” (Hamburg 1935). Praca oparta jest (do 1410 r.) niemal wyłącznie na ogłoszonych już studiach monograficznych niemieckich i polskich (także i samego autora), rozdziały o Towarzystwie Jaszczurczym, o Związku Pruskim i powstaniu pruskim — także na materiałach źródłowych drukowanych w wydawnictwie Toepfena, *Acten der Ständetage Preussens* (Leipzig 1874). Ta część pracy — sto ostatnich lat Zakonu, ponad 1/3 całej książki — jest dla polskiego czytelnika najciekawsza.

II

W Nrze 28(46) „Kuźnicy”, w recenzji z książki Tobiasza zwróciłem uwagę na pewne metody nienaukowej konstrukcji, które — zwłaszcza po okupacji niemieckiej — zagrażają historiografii polskiej. Książka Tobiasza wyszła, zdaje się, nakładem autora, a więc na jego wyłączną odpowiedzialność; książkę Górskiego żyruje poważny Instytut Naukowy.

Ależ tak pisać nie można!

Żyli Prusowie w odosobnieniu i pierwotnej, leńwiej a wygodnej anarchii bezwładu nie znając danin i robocizny, powinności czy służby. „Być może, że uważali, że jest to stan najszybszy i nie chcieli zdobyć się na wysiłek stworzenia państwa, ani wyrzec się czegośkolwiek, by zdobyć rzeczy wyrastające ponad przeciętność życia z przyrody”. „Prusy trwały w dobrowolnej bierności nieuchwytnego przedmiotu, nie chcąc dojść do państwowości”. „Choć były i ślasy i kosy, nie zaznaczał się postęp w technice i wszystko trwało w biernym, bezkresnym bytowaniu”. (str. 20, 21, 25).

Co to wszystko znaczy!

„Wszelkie przysięgi były na wiatr, wszelkie daniny ustawały gdy wychodziło wojsko (scilicet okupacyjne z ziem Prusów), z politycznej nicości nie można było wyrzesać nawet zależnej organizacji”. Zależnej organizacji — czyli nie można było podbić. Nawet!

A zatem: „trzeba było kraj osadniczym zdobyć, lub stworzyć pruską monarchię”. „Chrobrzy wybrał drogę trzecią — misji religijnej, by przez nią związać Prusy z Zachodem” (str. 20).

A więc teraz rozumiemy wszystko. Zachód — misja — (religijna, albo kolonizacyjna, albo pruska monarchia; Polska poznała je wszystkie w ciągu dziejów) — Polska była do tej misji powołana. A Prusy broniły się! (Polska — nie zawsze). I stąd owe dyskwalifikujące konstrukcje i oceny: naturalnie, wolił głupcy leńwiej a wygodnej anarchii bezwładu — bez danin i robocizny! — niż słodkie jarzmo kultury zachodniej!

Ale i z Polską było licho. Piastom władającym Polską dziekicową „brakło siły ducha”, by podjąć wielkie zadanie podboju po zostale w spadku po Bolesławach (str. 26).

Zaczyna się oberek. Bo znowu Prusowie „dali narodowi polskiemu ludzi twardych i nieugiętych, w chwilach tragicznych, którzy umieli dźwigać wysoko sztandar przegranej na pozór sprawy” (str. 10). Dobra rasa!

„Papieżstwo stanęło na stanowisku ogólnoludzkim: „Jeśli (!) ludy pogańskie mają otrzymać dobrodziejstwo religii chrześcijańskiej, to nie powinny za nie płacić niepodległością” (str. 20). Czem w takim razie było „ze stanowiska ogólnoludzkiego” „wielkie zadanie” podboju jakie miała Polska?

„Nic nie jest wieczne w rzeczach ludzkich, i dobro i zło plegają zniszczeniu” — taki jest dogmat autora: Historia i absolut.

A oto nieuniknione konsekwencje symbiozy obojga:

„Wydarzenia z lat 1939 — 45 są skutkiem błędu popełnionego przez Konrada”. „Tak się mści dobrowolne zaniechanie prawa i zarazem obowiązku” (str. 36). Jakiego prawa, jakiego obowiązku?

A po stronie pruskiej? „Dziwna zawziętość rozpaczliwie szaszczyła kłosa w duszach pokonanych. Twardość uporu w walce przebiegli teraz na twardość uporu wytrwania w niewoli. Jest w tym uwielbieniu jarzma coś, co miało przetrwać wieki, co skuto duszę tego ludu silniej od pęta ciała. Zła rozpacz i uwielbienie dla panowania stały się chlebem powszednim Prusaka” (str. 48). Którego: bałto-litewskiego z 13 w. czy niemieckiego z 20. A twardość uporu wytrwania w niewoli jest uwielbieniem jarzma? Dusza i pęta ciała — niebo i piekło i szamotanie się historyka wśród absolutnych i absolutnie nie

nie znaczących kryteriów ahistorycznego dziejopisarstwa!

„Była w Zakonie (Krzyżackim) tajemnica zła” (str. 61). Zakon Krzyżacki „około świętości życia chrześcijańskiego kręcił się, jakby szukając czegoś, czego mu nie było dane dostąpić” (str. 59). „Wszystkie objawy dążeń religijnych nie sięgały do życia politycznego i ci sami mistrzowie, którzy Zakon reformowali, Pomorza Polsce oddać nie chcieli” (str. 63). Brzydzący mistrzowie!

We wstępie książki zapowiada autor, że będzie traktował Prusy jako „całość dynamiczną, sens swój ostateczny biorącą w ruchu i kierunku, w którym ruch ten się wyznacza. Dynamizm bowiem nadaje całości sens swoisty i swoisty sens miało państwo

krzyżackie oraz państwo Hohenzollernów, a w pokrewieństwie ich leży klucz do rozwiązania istotnego sensu całego procesu rozwoju pruskiego”. Nie rozumiem. „Gdy mówimy o dynamizmie rodzą się asocjacje mechaniczne, gdyż ujmowanie mechaniczne zjawisk jest najprostsze, najdostępniejsze dla umysłu, choć niekoniecznie trafne lub zgodne z rzeczywistością. Jest ono zawsze obrazowe, bo mechaniczny związek przyczynowy jest jak się zdaje — doświadczalnie poznawalny”. Aha! Dynamicznie a nie mechanistycznie — znamy tę filozofię i historiozofię.

Ale dość tego! Prześtafimy karmić taką strawą powojennego czytelnika!

Stanisław Śreniowski

KRONIKA FILMOWA

PRZEMIANY W FILMIE SOWIECKIM

„Jestem okiem kina! Biorę u kogoś ręce, najsilniejsze i najczulsze! U innego nogi szybkie i zgrabne! U trzeciego — głowę, najpiękniejszą i pełną wyrazu... I w montażu tworzę nowego, doskonałego człowieka!”

Taką to ewangelię filmowego montażu próbował kiedyś ułożyć sowiecki reżyser, Dżiga Wiertow, twórca słynnego „kino-głaza” (oko kina). Wiertow — ze skrawków autentycznej rzeczywistości tworzył formalistyczne abstrakcje, bardzo efektowne dla oka, jednakże zbyt wysublimowane i zawsze chłodne. Żywe zagadnienia — zatracały się w montażu Wiertowa, żywy człowiek pełnił taką samą funkcję jak kominiarz fabryczny, turbina czy traktor.

Manierę Wiertowa nazwano „kinem intelektualnym”. Najwięksi sowieccy reżyserzy ulegali jej przez wiele lat, prawie przez cały okres filmu niemelego. Przede wszystkim Eizensztejn, twórca słynnego filmu: „Pancerńik Piatomkin”, także Kuleszow (warszawiacy pamiętają zapewne jego „Wielkiego Czardzieja”), w dużo mniejszym stopniu Pudowkin, którego filmowe tropy miały zawsze spory ładunek emocji.

Wzbogacając niewątpliwie stylizację filmową szeregiem pięknych odkryć i tropów, wyznawcy kina intelektualnego doprowadzili jednakże formę do przerosła. Teoretycy formalizmu rzucili hasło: „sztuka jest tylko niezwykłym i wymyślnym formą” (Szkłowski). Ale żonglerka niezwykłościem odbywała się przy pustej widowni kończyła się ucieczką od życia i od widza.

„Formalistyczny ułkon” sztuka rosyjska gwałtownie potępiła, wysuwając na jego miejsce zasadę: „socialistycznego realizmu”. Zasada była słuszną, choć nie odrzucała zwłaszcza właściwe sformułowanie realizmu. Owszem, sztuki relacjonujące (powieści, film) — muszą wrastać korzeniami w życie, muszą dawać świadectwo swojej epoce, inaczej nie znajdą odbiorców i zwiędną w swych wieżach z kości słoniowej. Prawda też jest, że tylko w zestawieniu z życiem — da się stwierdzić ich wielkość i wymowę artystyczną. Ale łatwo tu też wpaść w drugą skrajność, gdzie cyhają niebezpieczne dla każdej sztuki manowce naturalizmu. Niejednemu rosyjskiemu filmowcowi błędzi długo po tych rozdrożach. Oto co o tym pisał Eizensztejn na krótko przed wybuchem wojny:

„Był okres w naszej kinematografii, kiedy montaż był „wszystkim”. Obecnie kończy się okres, w którym montaż był „niczym”. Oba krańcowe określenia montażu należy odrzucić. Montaż nie jest ani „wszystkim”, ani „niczym”, montaż jest po prostu jednym z zasadniczych elementów utworu filmowego. Po wielkiej burzy „w obronie montażu” i po reakcji, kiedy „olano” „przez zmontażem” — musimy obecnie wszystkie związane z tym problemy przemysleć na nowo. Jest to tymbardziel konieczne, że wielu naszych reżyserów w ostatnich latach pożyło się z montażem jakby „na zawsze”, zapominając, że sens montażu łączy się organicznie z pojęciem dzieła sztuki, że bez montażu nie podobna pokazać w czasie ani tematu ani fabuły, ani działania, ani ruchów. Dotyczy to utworu filmowego w całości i dotyczy to jego części, nawet małych. Po co w gruncie rzeczy montujemy? Największy przeciwnik montażu zgodzi się chyba, że nie tylko dlatego, że nie mamy takmy nieskończenie długiej, a więc że od czasu do czasu trzeba kleić mniejsze kawałki. Formaliści — i to jest ich zasługa — bawili się montażem, stwierdzili, że jakkolwiek dwa kadry złączone razem, przynioszą w wyniku tego złączenia coś nowego, jakiegoś nowego, innego wyobrażenia rzeczywistości. Nie jest to bynajmniej ekskluzywna cecha filmu, ale zjawisko, które spotykamy w każdym wypadku, kiedy mamy jakiegoś dwa fakty, dwa przedmioty, dwie cechy. Błędem formalistów był jedynie „montaż dla montażu”, sztuczki dla samych sztuczek.”

Tak oto bieg czasu łagodzi powoli skrajności głoszonych w sztuce haseł. „Socialistyczny realizm” dzisiaj — to po prostu artystycznie, a więc przekonywująco podana prawda o życiu w Związku Radzieckim. Człowiek podany w relacji musi być żywym człowiekiem. Ładunek emocjonalny podany w treści opowiadania winien odpowiadać „zamówieniu społecznemu” i zamówienie to winno być ściśle określone. Zdarza się owszem, że „zamówienie społeczne” każe użyć chwytów dość prymitywnych i dla widza zagrażającego dość obcych (exemplum: niektóre sowieckie filmy czasu wojny), ale godząc się na zasadniczą tezę:

film jest sztuką dla mas, trudno o to mieć pretensje.

W każdym bądź razie, socjalistyczny realizm — odrzucając jałową abstrakcję stylistycznych efektów montażu i schematyzm postaci, nie neguje bynajmniej wielkich osiągnięć najlepszych filmów z epoki kina intelektualnego. Twórcy tego stylu, Kuleszow i Eizensztejn wykładają dalej w sowieckich instytucjach filmowych, a dowodem harmonijnego złączenia ich dawnych doświadczeń z nowym prądem może być bezsporna teza, jaką głoszą: tylko organiczna jedność treści i formy pozwala osiągnąć doskonałość w sztuce!

W praktyce — zasady realizmu wprowadziły większą staranność w wyborze tematów, kazaly autorom skrupulatnie badać historyczną i społeczną scenę opisywanych wydarzeń, zmieniły wreszcie metody pracy z aktorem. Aktor dawniej był jedynie marionetką w ręku reżysera, uzbrojonego w wszechmocne nożyce montażowe, obecnie stał się odpowiedzialnym współtwórcą filmu.

Trzy filmy dźwiękowe: „Putiowka w żyzni” Eeka (1931), „Czapajew” braci Wasiliewych (1934) i „Szczers” Dowżenki krytyka sowiecka uważa za najlepsze wzory nowego stylu.

Miejmy nadzieję, że nowa umowa „Filmu Polskiego” z sowieckim min. kinematografii pozwoli nam wreszcie wyrzucić i te i inne najlepsze dzieła radzieckich mistrzów. Na takich zamkniętych seansach warto także pokazać nawet te najstarsze, nieme filmy, zwłaszcza filmy Pudowkina i Eizenszteina.

Analiza drogi, jaką przebył ten wielki reżyser, byłaby specjalnie ciekawa. Eizensztejn kręcił mało. Kilka dobrych lat był zajęty jedynie pracą w ośrodku szkoleniowym, wreszcie w 34 r. zabiera się do filmu „Biezin Lug” (istnieje opowiadanie Turgeniewa pod tym samym tytułem, ale o ile wiem — nie ma ono nic wspólnego z filmem S. E.). Eizensztejn kręcił i ciągle coś poprawia całe cztery lata. Usiłuje pogodzić swój dawny intelektualny manierizm z realizmem, ale kończy się to artystyczna porażka: film wędruje na półkę. Dopiero w monumentalnych filmach historycznych: „Aleksander Newski” i „Iwan Groźny” — Eizensztejn odnajduje właściwą dla siebie formę wypowiedzi. Rzecz w tym, że monumentalna panorama historyczna dopuszcza stylizację. Daje się tu przecież nie tyle postać autentyczną, ile nasze o niej wyobrażenie. W wypadku filmów, które cytuję, wyobrażenie to może być zlekka hieratyczne i oto reżyser ma okazję, żeby w montażu prawie statystycznych kadrów ukazać „żywe obrazy”, przypominające siłą obrazowania najlepsze sceny z filmów „Pancerńik Piatomkin” czy „Generalna linia”. Płynnie stał pewna operowość i ten spokojny, patetyczny rytym przebiegających na ekranie kadrów. Eizensztejn jeszcze raz stwarza zupełnie nowy i trudny do naśladowania styl.

Co jest lepsze w odniesieniu do historycznych tematów (traktowanych poważnie) czy taki styl, jaki mamy u Eizenszteina, czy też zwyczajne, realistyczne ujęcie treści, jakie oglądaliśmy np. w innym sowieckim filmie pt.: „Piotr Wielki”? Osobiście wolę styl „Iwana Groźnego”. Wprowadza on pewien dystans, który wprowadził oddala nas a nie zbliża do relacjonowanych zdarzeń, ale właśnie taki dystans uważam za artystyczne osiągnięcie. Zwłaszcza w filmach, które opowiadają dzieje zamierzele. Bez tego dystansu nie podobna też uzyskać tego co nazywamy monumentalnością. W filmie naszym w podobny sposób realizował swoją „Jeanne d'Arc” Charles Dreyer i wolę to od wszelkich na amerykańską modłę naturalistycznych Neronów, Kleopatry i Cezarów.

Ciekawą rzeczą byłoby wysledzić, jaki wpływ na nowe filmy sowieckie wywarł film amerykański. Wpływ ten jest niewątpliwie, choć nie zawsze pozytywny. Ale o tym kiedy indziej.

ab

Czytajcie i prenumerujcie
„Kuźnicę”

Prenumerata zapewnia regularne otrzymywanie „Kuźnicy”. Zaprenumerować można w każdym urzędzie pocztowym. Prenumerata miesięczna wynosi 40 zł, kwartalna 120 zł.

KRONIKA RADZIECKA

PRZEGLĄD PRASY

Wszyscy interesujący się literaturą i jej teorią odczuwali w ciągu ostatnich lat brak w piśmiennictwie radzieckim specjalnego miesięcznika poświęconego poważnym treściom i rozmiarom studium krytycznym. Od paru lat bowiem w Związku Radzieckim ukazywały się jedynie miesięczniki i kwartalniki ściśle literackie publikujące raczej powieści, nowele i poezję, a krytyce poświęcające tylko niewielkie miejsca.

W okresie intensywnych prac nad rozbudową wewnętrznej, bezpośredniej przed 1939 r. i potem w okresie wojny — pisma krytyczne były siłą społecznej potrzeby, wciągane do publicystyki politycznej. Szczególnie żywo odczuwana w radzieckim społeczeństwie doniosłość i zrozumiała w środowisku intensywnych przemian pierwszoplanowość zagadnień politycznych wymagała odpowiedniej daniny talentów. A przecież krytyka radziecka miała za sobą lata szczególnego rozkwitu, zwłaszcza w dziesięciolecie bezpośredniego po rewolucji. Zdolano wówczas wykształcić narzędku całkowicie nowego teoretycznego ujęcia zjawisk literackich. Szczególnie wiele zrobiono dla zrozumienia problemów morfologii dzieła literackiego. Śmiało można powiedzieć, iż dorobek tego czasu zapożyczył europejską wiedzę o literaturze. Inna sprawa, że te morfologiczne poszukiwania były nieco jednostronne i abstrakcyjne, za trudem służyły podstawowym funkcjom krytyki: kierowania życiem literackim swego czasu. Tradycja wspomnianych badań morfologicznych nigdy nie była zaniedbana w Związku Radzieckim. Pełna przecież działalność krytyczna interesująca się nie tylko formalno-technicznymi zagadnieniami literatury, ale i jej społeczną funkcją, nie rozwijała się dostatecznie żywo, mimo szeregu wybitnych indywidualności z G. Lukacsem na czele. Radzieckie siły kulturalne zdawały sobie z tego dobrze sprawę. Ten osad znalazł swój wyraz także w opiniach czynników politycznych na schyłku 1940 r.

Z potrzeby przezwyciężenia impasu wyrosło nowe wydawnictwo tegoroczne. Miesięcznik „Sovetskaja kniga” objętości naszej „Twórczości” — poświęcony krytyce i bibliografii. Leży przed nami dwa pierwsze numery tego pisma: Programowy artykuł od redakcji pozwala zorientować się w dążeniach zespołu. Podkreśla się zarówno pozytywne marksistowskie jak i negatywne antyfaszystowskie stanowisko. Marksizm przy tym należy za stałymi określeniami rozumieć twórczość — nie trzeba opierać się tylko na cytatach z Marksa, ale przede wszystkim nie zaniedbywać doświadczenia.

Wzorów właściwego typu krytyki chce redakcja szukać w tradycji rosyjskich. Są to niewątpliwie wielkie i godne ożywienia tradycje. W przeszłości bowiem, w warunkach właściwego caratowi tłumienia wolnej myśli, krytyka, a w szczególności krytyka literacka była bodaj jedynym środkiem propagandy w masach postępowego pokolenia na świat. Stąd jej wszechstronność. Redakcja „Radzieckiej książki” podkreśla to sama. I na dziś także chce widzieć w krytyce jedną z form ideowego wychowania mas. Dostrzega przecież i różnicę — krytyka nie jest dziś jedynym środkiem działania — musi więc zacieśnić swą problematykę, uczynić bardziej specjalną, literacką, nie może jednak nigdy zrywać związku z życiem społecznym, z ogólną problematyką współczesności.

Charakterystycznym punktem programu jest wyraźna obrona rozważań teoretycznych i szczególnie teoretyczno-literackich. Redakcja pisze, iż często pod pozorem eliminacji zbędnej scholastyki, zwałowało się w praktyce wszelka teoretyczna refleksja nad literaturą. Szkodziłoby takiego stanu rzeczy nie trzeba dowodzić.

W dotychczasowej krytyce radzieckiej widzi redakcja niedostateczną troskę o popularyzację osiągnięć literatury rodzimej, ponadto zaś niedostępną pasję ideowej w formułowaniu sądów, a za wiele zrozumienia dla wymagań towarzyskiego współżycia z pisarzami, zbyt bezwzględny takt i poprawność. Wymagać trzeba słusznej straconości i śmiałości sądów. Taka tylko postawa zapewniła bowiem Bielińskiemu, Hercenowi, Czernyszewskiemu poczesne miejsce w historii krytyki.

Silnie akcentowany zwrot do tradycji narodowej jest rysem charakterystycznym ideologii pisma, zjawia się zarówno w deklaracjach programowych jak i w zainteresowaniach i sadach krytycznych. Nie jest to przecież ślepa aprobata przeszłości właściwa tra-

dycjonalistom. Przeciwnie pismo wyliczając grzechy główne historiografii radzieckiej ostatnich lat przeciwstawia się występującej tu i ówdzie jawnej apologii całej przeszłości narodowej, przeszłości „Zamanna Euro-ry”. Gdy nawiązuje do tradycji, umie wybierać! Właśnie pierwszy artykuł, pierwszygo numeru poświęcony jest wyodrębnieniu „wolnościowej tradycji literatury rosyjskiej”. Z dumą cytując się tak bardzo odważny, piękny i ludzki fragment Nekrasowa, naiprawdziwiej patriotyczny ze wszystkich znanych mi wierszy:

Primitiwy ze s Muzyj mojej!
Ja nie znam drugiego napiewa
Kto żył bez pieśni i gniewa,
Tę nie lubię odczyt swojej.

Dla polskiego czytelnika najbardziej uderzającym w tym miesięczniku jest zakres zainteresowań. Obejmuje on całe piśmiennictwo, a więc obok literatury pięknej, jej historii i teorii również piśmiennictwo naukowe, całą dziedzicę humanistyki z filozofią, ekonomią, historią, publicystyką... To stanowisko nawiązuje do tradycji pseudoklasykizmu XVIII w. W dobie romantycznej nauczaliśmy się wyodrębniać literaturę z całości piśmiennictwa. Myśle, że działo się to z jej szkoda. Odcieła od żywych źródeł myśli, od głębokiego pojmowania człowieka zatracala swój ludzki i piękny charakter jakimi miała jeszcze w twórczości wielkich klasyków: Diderota, Voltaire'a. Związek sztuki z humanistyką w naszej dobie zwolnienia racjonalnej myśli i intelektualnej literatury może zapowiadać odrodzenie i pożądane wzbudzenie tej pierwszej. Traktowanie piśmiennictwa jako całości uświadamia nam jeszcze jeden błąd współczesnej wiedzy o literaturze, która pojmowała zgodnie z normatywnymi postulatami poetyki Mallarmego odrębność i swoistość języka literackiego jako fakt literacki empiryczny ponadczasowy, a nie jako historyczny, normatywny postulat danej poetyki. Dziś, gdy chcemy przezwyciężyć tradycję symbolizmu trzeba uświadomić sobie możliwość historyczną zacierania się — ostatnio tak wyraźnych — granic między systemem języka komunikatywnego — a systemem języka artystycznego. Toteż szeroki zakres zainteresowań „Radzieckiej książki” trzeba powitać jako wyraz bardzo nowoczesnej i właściwej empirycznej postawy wobec sztuki słowa.

Każdy numer omawianego pisma dzieli się na trzy działy: pierwszy obejmuje artykuły, drugi referaty, trzeci zatyłowany „bibliografią” krótsze, informacyjne recenzje ułożone działami: filozofia, ekonomia, historia, publicystyka, literatura i sztuka. Kończy numer kronika obejmująca również rozmowy wy-kazy nowych książek.

Dwa pierwsze zeszyty poświęcają sporo miejsca syntetycznej ocenie twórczości okresu wojny. Mamy również duży artykuł o Lwie Tolstoj. Dwa artykuły o Stałynie jako pisarzu politycznym i teoretyku socjalistycznego uprzedysławienia.

W referatach znajdujemy bardzo ciekawe omówienie ostatnio wydanych materiałów po Marksie (tzn. „Konspekt” sławnej książki Morgana o ludach pierwotnych) i po Leninie (materiały o charakterze dokumentarnym). Nadto dwa syntetyczne przeglądy radzieckich książek napisanych w okresie wojny, a poświęconych ekonomii i historii klasycznej filozofii rosyjskiej. Z recenzji wyróżnia się omówienie książki Leontiewa „O Kapitale Marksa”, która to praca nie popularyzuje też wielkiego myśliciela, jest natomiast znaną nam z wórow francuskich i z polskiej literatury krytycznej, monografia książki. Podobnie pisał Mornet o „Nowej Heloizie” Rousseau’a czy Albalat o „Sztuce poetyckiej” Boileau’a i Pigoń o „Panu Tadeuszu”. Poza tym mamy raczej proste informacje o bieżącej produkcji piśmienniczej radzieckiej. Zalet pismo posiada wiele. Obok omówionych już, szczególnie uderza ideowość wywodów krytycznych, śmiałe konfrontowanie literatury z życiem, dążenie, by wydobyc możliwości jasno to wszystko, co w dziele pisarza ma być „jak żyć”. Niewątpliwie pismo ma wszelkie dane, aby przyczynić się do podniesienia radzieckiej krytyki literackiej. Główną wadą dotychczas wydanych numerów zdaje się być zaniedbanie swojskiej literackiej morfologicznej problematyki. Wbrew programowi redakcyjnemu utwory artystyczne analizowane są w recenzjach prawie wyłącznie od strony ich życiowych wartości, a strona artystyczna, specyficznie literacka traktowana jest dość pobieżnie i po dyletancu. Razi również brak dostatecznie wyraźnego nawiązania do współczesnej ogólnoeuropejskiej problematyki literackiej. I to sprzeczne jest z programem redakcji, która mówiła o walce z zakorzenionymi tendencjami faszystowskimi w kulturze współczesnej. Bez dyskusji z aktualnymi prądami, programami, problemami literatury europejskiej wydaje się realizacja tego ważnego postulatu niemożliwa. Trudno mówić o głębokich związkach faszystowskiego stylu patrzenia na świat z aktualnymi dążeniami europejskiej literatury bez analizy np. filozoficznych i artystycznych dążeń egzystencjalistów. A to wymaga zarówno dyskusji o fenomenologii, jak i nowszej teorii znaczenia wyrazów, tradycji protestanckiej teologii w Niemczech, jak o swoistym renesansie ekspresjonizmu, który wraz z kultem Kafki i jemu podobnych przeżywa Francja.

Należy liczyć, że przyszłe numery „Radzieckiej Książki” przyniosą nam oświecenie aktualnych zagadnień literackich na szerszym europejskim tle.

Pismo redagowane jest przez A. Jegolina. Nakładu ma 30.000 egzemplarzy.

zfk

Drogi rozwoju dwóch pism, ukazujących się w dużych ośrodkach kulturalnych na zachodzie kraju, są bardzo pouczające dla gatunku i jakości kultury, którą szczepią oba te pisma, każde na swoim terenie.

Mamy tu na myśli obejmującą całe nasze kresy zachodnie (Katowice, Wrocław, Szczecin) „Odra” i ukazującą się w Poznaniu „Życie literackie”. „Odra”, której numery śledziliśmy z wielkim zainteresowaniem od samego początku, powoli przekształca się z pisma o dużych, a nieusprawiedliwionych tekstami literackimi, pretensjach do regulowania życia literacko-artystycznego w całym kraju, w pismo solidnie informujące o potrzebach i dotychczas osiągniętym poziomie kulturalnym ziem zachodnich. Nieraz atakowaliśmy „Odrę” w naszej kronice i zdaniem naszym atakowaliśmy ją słusznie. Rozumiejąc bowiem specyficzne potrzeby kulturalne ziem odzyskanych, nie uważaliśmy ani za konieczne ani za celowe podporządkowanie im życia artystycznego w tych ośrodkach, gdzie toczy się ono normalnie, zgodnie z wieloletnią, choć przerwana latami okupacji, tradycją. Tradycja ta, niezależnie od wszelkich poprawek, które pociągają za sobą historyczne i ekonomiczne przemiany, jakie zachodzą w naszym kraju, polega między innymi na przestrzeganiu równowagi osiągnięć artystycznych z osiągnięciami współczesnej wiedzy o prawach rządzących światem, środowiskiem, jednostką — czyli tym co stanowi przedmiot zainteresowania i pracy pisarzy. Ta sama tradycja nie pozwala pisarzowi na cofanie się do przezwycięzonych historycznie stylów, koncepcji i metod. Idąc dalej po linii naszego rozumowania, musimy obiektywnie stwierdzić, że tylko dwa ośrodki kulturalne w Polsce nie przeczą tej tradycji. Inne — jak to wynika z treści rozmaitych czasopism pozostają nadal w kręgu wczorajszych zainteresowań i przedwczorajszej praktyki literackiej.

Przykładem dość typowym mogłaby być „Kamena”, „Zdrój” i wreszcie poznańskie „Życie Literackie”.

Nr. 12 „Życia literackiego” przynosi między innymi obszerny artykuł Zygmunta Szwejkowskiego o Sienkiewicz (z „Trylogii Sienkiewicza jako baśni na tle dziejowym”). Szwejkowski przeprowadza konsekwentnie tezę, według której „Trylogia” jest oparta na zasadzie baśni. Autor, jakkolwiek sam rzucił tu i ówdzie krytyczne uwagi o wartości tej metody, polegającej na tym, by wywołać się „z tego co nazywamy postulatami prawdy dziejowej i postulatami realizmu charakterów, aby wkroczyć w rejony idealistyczne, w rejony nie z tego świata”, asprawnie i słusznie takiej metody i objaśnia w zakończeniu artykułu: „Sienkiewicz zwrócił się do baśni nie po to, by czytelnika zupełnie oderwać od życia, lecz by przez ukojenie wywołać w nim wielkość prawdziwą”.

Wydało się nam, że w dzisiejszym stanie badań nad Sienkiewiczem, artykuł Szwejkowskiego, nie zawierający prawie zupełnie charakterystyki środowiska, które było głównym odbiorcą „Trylogii”, nie uwzględniający owego „zamówienia społecznego” (autor mimochodem tylko wspomina o „czytelniku specjalnie w pewnym kierunku wychowanym, który był członkiem narodu w niewoli” nie nowego do tak obfitych u nas „sienkiewiczianów” nie wnoszą. Natomiast metoda krytyczna Szwejkowskiego może utwierdzić czytelników „Życia” w mniemaniu, że można traktować o dziele pisarza w oderwaniu od warunków w których było ono pisane, co więcej, że Sienkiewicz istotnie wywołał „wielkość prawdziwą przez ukojenie” prowadząc czytelnika w świat baśni w tym samym czasie, gdy Prus i Orzeszkowa mówili prawdę.

Nr. 13 „Życia” przynosi nam fragment pracy Konrada Górskiego: „Piękno”. Trudno w tym miejscu polemizować z twierdzeniami autora, opierającego się o rozliczne definicje filozoficzne, dobrze zresztą dość jednostronnie. Cytujemy tylko ostatni, który wydaje się być doświadczeniem Górskiego: „Żadna estetyka oparta wyłącznie na przesłankach naturalistycznych nie wyperswaduje intuicyjnego odczucia, że piękno jest transpozycją rzeczywistości metafizycznej w sferę zmysłową. Prawda ta narzuca się nie raz z niepokonaną oczywistością artystom największej miary”. Quod erat demonstrandum!

Kolejny rozdział o poezji, część obszernego omówienia bieżącej literatury polskiej zamieszcza w numerze K. W. Zawodziński. („Rzut oka na literaturę polską 1945 roku”). Zawodziński w dalszym ciągu podtrzymuje nieaktualny i bezcelowy podział na lirykę „passeistyczną” i „awangardową” i konsekwentnie w stosunku do swego przedwojennego stanowiska, lecz niekonsekwentnie wobec dzisiejszej sytuacji liryki, atakuje poezję nieistniejącą „awangardę”, szermując „niezrozumiałym” poezji Przybosa. Z tego też stanowiska dostępności dla szerokiego kręgu czytelników ocenia Zawodziński nieprzychylnie tom Miłosza.

Natomiast nie bez słuszności wydaje się nam to na co pisze Zawodziński wymieniając nazwisko Antoniego Słonimskiego: „Wiek kłóski” Słonimskiego. Jedyna książka skamandryty opublikowana w kraju... spotkała się raczej z niechętnym przyjęciem: i postawa humanitarysty... i tradycyna technika, i potoczność konwersacyjnego języka, wszystko to wydało się anachronizmem w momencie,

gdy tak dużo mówi się o humanizmie, realizmie i demokratyzmie sztuki...”. Zdanie to niesprawiedliwie ocenia opinie krytyki o pięknym tomie Słonimskiego, gdyż jak dotąd Zawodziński mógł opierać się zaledwie na wypowiedziach dwóch młodych, początkujących krytyków. Wypowiedzi tych, jak się nam wydaje, nie należy traktować jako reprezentacyjne. Lektura artykułu Zawodzińskiego, a zwłaszcza jego uwagi końcowe, nasuwają obawy, że autor daje zbyt pesymistyczny obraz współczesnej liryki, jeśli z całej produkcji roku 1945 jeden tylko Roman Sadowski zasługuje na pochwałę, a to z tego tytułu, iż Zawodziński, jeden z niewielu przedwojennych „speców” od poezji, dotarł się w jego utworze „zaczątków artystycznej krystalizacji przeżyć myśli”.

Apologię wielostronicowego dzieła Jalu Kurka „Janosik” przeprowadza Helena Wielowieyska. Rozmaite są gusty i upodobania i nie tu miejsce na polemikę z p. Wielowieyską, czy nowa powieść Kurka posiada istotnie tak wielkie walory estetyczne, jak to czytamy w jej ocenie. „Prosty, skromny, oszczędny, mimo epickiej szerokości i lirycznej rozległości styl „Janosika”, wywodzi się w prostej linii z krakowskiej awangardy, która każdemu z jej współtwórców narzucała ścisłą dyscyplinę: nie więcej ponad to co jest konieczne, niezbędne, ani chwili dłużej niż to jest potrzebne dla jasności i czytelności wizji”. Cytat ten dobitnie wskazuje na fantazję p. Wielowieyskiej jako krytyka.

Główną wadą „Życia Literackiego” jest wy-silanie się na tworzenie „pepiniery literackiej”, jakiejś oazy sztuki, która zdala okraża-ia wichry współczesności. Ale od wielu już numerów eklektyzm „Życia” jest tylko pozor-ny. Wszystkie prawie artykuły świadczą wyraźnie o gatunku tendencji, jaka nurtuje w tym piśmie. Niestety, obrona „ducha” przed zamachami materialistów, w dzisiejszych czasach kończy się przeważnie na lansowa-niu słabych wierszy i dowolności w arty-kulach teoretycznych.

W tym stanie rzeczy „Odra”, której dwa numery kolejne zawierają treść skoncentrowaną prawie że wyłącznie wokół zagadnień kulturalnych Ziemi Odzyskanych, oddaje wła-ściwie dużo większe usługi Śląskowi niż „Życie” — Poznaniowi. W nr. 24 „Odry” znajdujemy artykuł „O mądry rozdział zbiorów” p. Karola Małczyńskiego. Autor w związku z dokonana już w chwili gdy pi-szemy te słowa rewindykacją zbiorów Ossoli-neum wysuwa słuszne żądanie, by zbiory te, jak i inne, które zostaną zrewindykowane, nie zostały podzielone, lecz w całości we-szły w skład nowych „jednostek bibliotecz-nych”. W dalszym ciągu artykułu Ma-lczyński domaga się, by biblioteka Ossoli-neum została przekazana Wrocławowi. Nie przesądzaając sprawy słuszności tego postu-latu i uważając zorganizowanie dużej bi-blioteki polskiej we Wrocławiu za naczelne zadanie kulturalne w programie scalenia ziem zachodnich z macierzą, sądzimy jednak, że zbiory Ossolineum winny być tam, gdzie istnieje największa i najracjonalniejsza, naj-pelniejsza możliwość ich wykorzystania — w ośrodku naukowym w tej chwili już cał-kowicie zorganizowanym.

W nr. 25 w artykule „O ośrodek zachod-niej myśli politycznej” Edward Serwański informuje nas obszernie o pracach Instytutu Zachodniego.

Milo nam stwierdzić, że w ostatnich nume-rach „Odry” w dziale „Glosy i notatki” nie strzela już nikt kulą w plot i nie zajmuje miejsca swymi prywatnymi animozjami. Stwierdzamy to lojalnie, mimo iż antypatia „Odry” dla pism lewicy jest nadal widoczna.

ph.

NOWOŚCI WYDAWNICZE „WIEDZY”



Do nabycia
we wszystkich księgarniach
Cena zł. 250

TREŚĆ POPRZEDNIEGO NUMERU:

Voltaire: Ze „Słownika Filozoficznego” (przekład Pawła Hertza). — Andrzej Stawar: Sienkiewicz (II). — W sprawie kie-leckiej. — Kandyd.: Tak toczy się świat. — Zdzisław Libera: Uwagi o roku szkolnym. — Marcel Proust: W poszukiwaniu zagubionego czasu — Tom VIII — Czas odnaleziony — (przekład Kazimierza Kossobudzkiego). — Stefan Otwinowski: W Krakowie. — Jan Kott: Mury Jerycha. — Olgierd Górka: O nowe momenty genealogii polskiej inte-ligencji. — ab.: Kronika filmowa. — Prze-claw Smolik: Na bezdrożach złych tradycji. — Adam Ważyk: Rozmaitości — Perspekty-wa. — Jerzy Bossak: Falszywa troska o film. — ph.: Przegląd prasy. — Noty. —

N O T Y

Niezadowolone lorda a działania międzynarodowe

W czasie debaty w Izbie Lordów nad polityką zagraniczną Wielkiej Brytanii wicehrabia Cranborne, mówiąc o Hiszpanii oświadczył, że jemu nie podoba się bardzo forma rządu generała Franco, lecz to nie upoważnia Narodów Zjednoczonych do interwencji w tej sprawie. Bardzo słusznie! Ale może niezadowolone ludu hiszpańskiego do czegoś wreszcie upoważni Narody Zjednoczone?

złk

O czym warto wiedzieć

Według paryskiego dziennika „Liberation”, prawdziwymi gospodarzami bomby atomowej są trzy potężne trusty: Międzynarodowy koncern radu i uranu, dostarczający surowca; Towarzystwo Elektryczne Westinghaus, w którego rękach koncentruje się oczyszczanie surowca i przekształcanie go na uran metaliczny oraz trust chemiczny Dupont de Nemours, wyrabiający bomby atomowe.

„Międzynarodowy koncern radu i uranu jest faktycznym właścicielem wszystkich złóż rud uranowych w krajach kapitalistycznych. Kontroluje on produkcję bomb atomowych u samych źródeł, ponieważ ma prawo sprzedawania lub odmawiania sprzedaży surowca niezbędnego do wyrobu bomby.

„Oficjalnie rudy uranowej, niezbędnej dla produkcji bomb atomowych, dostarcza Kanada i Belgia. W istocie rzeczy sprawa nie dotyczy jednak bynajmniej rządów tych państw — nie mają one w stosunku do rud uranowych nawet cienia tej władzy, którą dysponuje koncern.

„Amerykański trust elektrotechniczny Westinghousa rozwiązał w swych laboratoriach jedno z najtrudniejszych zagadnień technicznych, związanych z produkcją energii atomowej — zagadnienie oczyszczania metalicznego uranu. Firma Westinghousa na mocy umowy z rządem Stanów Zjednoczonych zobowiązała się do oczyszczenia uranu w skali przemysłowej, pod tym warunkiem, że rząd nie będzie się zwracał do konkurencyjnych firm i że przedstawiciele trustu będą brali udział w kierownictwie prac naukowych w dziale energii atomowej.

„Wreszcie potężnemu trustowi chemicznemu Dupont, bezpośrednio lub pośrednio kontrolującemu większą część amerykańskiego przemysłu wojennego i nierozdzielnie związanemu z najważniejszymi kartellami międzynarodowymi, zostały jak wiadomo przekazane przez generała Leslie Grovesa zamówienia na budowę fabryk atomowych, środków wybuchowych w Clinton (stan Tennessee) i Hanford (stan Waszyngton).

Według informacji autora artykułu w „Liberation” tajna umowa amerykańskiego ministerstwa wojny z firmą Dupont stwierdza, że „w związku z niepewnym w wysokim stopniu

charakterem prac, podjętych przez firmę Dupont de Nemours i wzięcia przez nią na siebie ogromnego ryzyka, rząd Stanów Zjednoczonych gwarantuje firmie Dupont na czas nieograniczony wyłączne prawo produkowania bomb atomowych”.

bs

Ksiądz Kardynał ma rację

Kardynał Hlond w swoim wywiadzie udzielonym katolickiemu tygodnikowi „The Tablet” oświadczył: „w Ameryce macie normalne stosunki między kościołem i państwem od 50 lat”.

W dalszych zdaniach Jego Eminencja wyjaśnił co rozumie przez aprobowane przez siebie normalne stosunki, mówiąc dosłownie, iż wystarczy aby państwo było przychylnie ustosunkowane wobec kościoła, nie potrzebuje natomiast popierać kościoła i szkół religijnych.

Bardzo uważnie przeczytaliśmy te niezwykle słuszne poglądy księdza kardynała.

złk

„Za mało ludzka”

Osobliwej „recenzji” na łamach „Dziś i Jutro” doznał się tom wierszy Mieczysława Jastruna. Oto parę zdań pióra bliżej nieznanego Antoniego Marka Wasilewskiego, dla którego poezja Jastruna jest „za mało ludzka”. Posłuchajcie. Co wam przypomina ten język?

„Dziwną cechą Jastruna jest to, że nie lubi on wyrażać „Polska”. Jego wiersze patriotyczne są słabo podkreślone i słabo zaakcentowane nutą polskości”. „Tak poezja nie wychowa ducha narodowego i nie wykształci sił polskich”. „Nieprzejmnie uderza to, że jest to „patriotyzm kosmopolityczny” i wartość ich dla Włocha, Niemca, czy Anglika mogłaby być całkiem identyczna jak dla Polaka”.

Albo to:

„Jastrun boi się, jest niepokojny, nerwowy, miota się, szuka i nie znajduje. Nie chce jednak przyznać, że błądził, niewygodna mu jest droga, na której przejrzyty drogowskaz wskazuje cel, Jastrun odrzuca ze swej natury ludzkiej to, co daje nam pełnię godności człowieczeństwa — ignoruje ducha ludzkiego”.

Nie pierwszy to niestety raz na łamach pism mieniących się „katolickimi” przemawia tego rodzaju językiem ludzie, którzy wstęgi korporancji ukryli pod komizą. Na to, by powiedzieć o poecie, który swymi strofami umiał zbudować pomnik bohaterstwu, ludzkiej godności i pogardzie śmierci, że jest on przepejony ustawicznym, nerwowym lękiem, trzeba czegoś więcej, niż fałszywych metod krytycznych, ciemnej tępoty i ignorancji. Warto zapamiętać, że w półtora roku po zakończeniu okupacji hitlerowskiej,

w tym samym tygodniu, w którym opinie świata poruszyły wypadki kieleckie i w tym samym numerze tygodnika, który na pierwszej stronie wypadki te piętnuje, znalazł się ktoś, kto wyraża zdziwienie spowodu „chorobliwego kompleksu śmierci” w poezji Jastruna. Warto zapamiętać, że w roku 1946 znalazł się człowiek pouczający poetę, któremu śmierć niedawno jeszcze groziła w każdej godzinie, że jego przeżycia to „maniactwo” i „zbożenia”. I człowieka, który chwali się, że jego, jako wierzącego katolika, nieczyj strach ani nieczyja chorobliwa nerwowość nie zdoła wytrącić z błogiego spokoju. Tak, panowie! Właśnie o to nam chodzi, że wtedy kiedy innym groziła śmierć, wy tak bardzo skwapliwie ofiarowywaliście im królestwo niebieskie! Z takim spokojem i „beznamiętnym miłosierdziem”.

rdo

Nagroda mas. krowy i byk

Nagrodzone dzieło sztuki ma w stosunku do innych dzieł pewne dodatkowe możliwości kształtowania gustów społeczeństwa.

Warto zatem umiejętnie używać takiego narzędzia działania jak nagroda.

Laureatami omawianej w „Kuznicy” „nagrody mas” za obrazy wystawione w Salonie — zostali Skotnicki i Lasocki.

Odtąd, jak dowiadujemy się, Jan Cybis i Eibisch, szanując wolę „mas”, będą malowali Poleszków, krowy i byki.

Zwłaszcza byka strzelonego przez inicjatorów nagrody.

rkm

Kącik sadyzmu

Wszystkie prawie pisma codzienne wprowadziły dodatek albo co najmniej kącik dla dzieci. O duszę dziecięcą troszczy się w „Ilustrowanym Kurierze Polskim” (Nr 189) poetka Karulska Jadwiga, autorka utworu pt. „Ewa, mucha i pająk”. Utwór ma adnotację: „Bydgoszcz, czerwiec, 1946”. Jak zapewne domyślicie się kochane dzieciętki,

„Była sobie Ewa mała,

Co w wózekku swoim spała”

Nie trudno chyba odgadnąć, że mucha przeszkadzała jej spać. Aż oto zjawił się pająk i roztoczył sieć. Po dłuższym opisie mucha —

„Aż w przelocie szybkim, grackim

wpadła w sam środek zasudki”.

Poetka Karulska Jadwiga ogromnie się cieszy z losu muchy, uwikłanej w sieć pajaka.

„Już się teraz nie wykreśli,
nie pomogą dobre chęci,
nie pomoże i staranie
już się z niej nie wydostanie”.

I wreszcie posłuchajcie, kochane dzieciętki! Pająk z nią się bawić zacznie.

Za to Ewa pośpi smacznie.

Jakie to zabawne, prawda? Jakże pouczające! Jak to oczyszcza dusze naszej dziatwy z osadu hitlerowskiego sadyzmu! Poetko, Karulska Jadwigo! Pająk z panią tańczył, ale dlaczego redaktor nie czytuje wierszy, które zamieszcza? Dlaczego nie czytuje córeczka redaktora?

rdo

Brak decyzji

Niedawno Józef Andrzej Frasiak ogłosił zbiorek wierszy pt. „Urodzony w żdźble”. Tytuł wywołał zrozumiałą sensację ze względu na frapujący zbieg pięciu spółgłosek. Tymczasem ostatnio Józef Andrzej Frasiak ogłosił w czasopiśmie „Wieść” „Balladę”, w której czytamy:

„A ja urodzony w szumie styszę.

A ja sam,

Jak siekający w szyby wiatr,

Już go nie zduszę w sobie nieczem”.

Mniejsza o składnię i sens, niepojęty, bo ponoć spontaniczny... Ale na miejsce urodzenia wypadłoby się wreszcie zdecydować. Doradzamy czepek.

rdo

Styl... odnożny

W Nr. 64 doskonałego skądinąd „Przekroju” znajdujemy m. in. fotografię Józefiny Baker wraz z notatką, poświęconą czekoladowej tancerce. Z notatki dowiadujemy się, że piękna mulatka, dosłużywszy się podczas wojny stopnia oficerskiego w pomocniczej organizacji armii amerykańskiej, „zdjęła już dziś oficerskie buty i wyruszyła na dawne podboje gołymi nogami serc męskich, rozpoczynając od scen Szwecji”.

Wiedząc coś niecoś o wulkanicznym temperamencie Józefiny Baker, nie zadržymy biednym Szwedom, których serca w nieludzki sposób podbijane będą „gołymi nogami” (piętami?... łydkami?... kolanami?...?) Zdaje się, że po gościnnych występach płomiennej egzotycznej piękności szwedzcy lekarze-kardiolodzy będą mieli wielu pacjentów. Podbijanie serc „gołymi nogami” jest dla ofiar tych podbojów rzeczą bardzo niebezpieczną.

bd

Do Redakcji „Kuznicy”

w miejscu

Wydawca Eugeniusz Kuthan rozpowszechnił w wielu egzemplarzach elaborat zawierający szereg inwektyw pod moim adresem. Ponieważ wszystkie twierdzenia Kuthana stanowią od początku do końca wierutny fałsz, sprawę przeciwko niemu skierowałem do sądu.

Jan Brzechwa

Książki nadesłane

Prof. Dr MAKOWSKI JULIAN

BEDNARZ WŁADYSŁAW

OTWIŃKOWSKI STEFAN
PIĘTAK STANISŁAW
ANDRZEJEWSKI JERZY

ORKAN WŁADYSŁAW

CHOYNOWSKI PIOTR

B. DANIELEWSKI

KAZIMIERZ POPIOLEK

ROMAN GRODECKI

JÓZEF WIDAJEWICZ

FRANCISZEK GIL

LANGEVIN

BOLESŁAW PRUS

BOLESŁAW PRUS

JULIAN BENDA

BOLESŁAW PRUS

BALZAC

ADOLF RUDNICKI

ZANNA KORMANOWA

ADAM MICKIEWICZ

- Organizacja Narodów Zjednoczonych. — Wyd. Państw. Instytut. Wydawn. Warszawa. Str. 31.
- Obóz straceń w Chełmnie nad Nerem. — Wyd. Państw. Instytut. Wydawn. Warszawa 1946 r. Str. 74.
- Rzecz nieludzka.
- „Front nad Wisłą” — „Czytelnik” 1946. Str. 182.
- „Ład serca” — Wyd. Gebethner i Wolf. Warszawa 1946 r. Str. 228.
- „Listy ze wszy”. — Wyd. Gebethner i Wolf. — Warszawa 1946. Str. 218.
- „Kuznia” — Wyd. Gebethner i Wolf. Warszawa 1941. Str. 301.
- „Niemcy rozgromjone” — Wyd. Zachodnie. — Poznań 1946. Str. 326.
- „Luzycem wolność” — Wyd. Zachodnie. — Poznań 1946. Str. 76.
- „Trzecie śląskie powstanie” — Wyd. Instytutu Śląskiego 1946. Str. 215.
- „Powstanie polskiej świadomości narodowej” — Wyd. Instytut. Śląskiego. Katowice. Str. 51.
- „Słowianin zachodni a Niemcy w wiekach średnich” — Wyd. Instytut. Śląskiego. — Katowice. Str. 43.
- „Żniwo wielkiej reformy” — Wyd. „Książka” Str. 48.
- „Era przemian”. Wyd. „Książka”. 1946. Str. 39.
- „Powracająca fala”. Wyd. „Książka”. Str. 102.
- „Faraon” — Wyd. „Książka”. 1946. Str. 27.
- „Antysemita z przekonania” — Wyd. „Książka”. 1946. Str. 27.
- „Lalka”, 2 tomy. Wyd. „Książka”. 1946. Str. 298.
- „Dwaj poeci”. Wyd. „Książka”. 1946. Str. 172.
- „Józefów”. Wyd. „Książka”. 1946. Str. 16.
- „Walczyły o wolność”. — Wyd. „Książka”. 1946. Str. 64.
- „Leleweł”. — Wyd. „Książka”. 1946. Str. 94.
- „Grażyna”. — Wyd. „Książka”. 1946. Str. 76.
- Most im. Ks. Poniatowskiego.

Bezstronny głos rzetelnie myślącego Anglika odsłaniający kulisy polityki angielskiej konserwy

K. ZILLIACUS
poseł do parlamentu
angielskiego członek
PARTII PRACY

MIĘDZY
DWIEMA
WOJNAMI

Oto tytuły niektórych rozdziałów:
Jak otumaniono świat pracy?
Jak wyzyskano Wilsona? Napisać na demokrację hiszpańską

Już wkrótce na półkach księgarń

STANISŁAW PIĘTAK

FRONT
NAD WISŁĄ
CYKL OPOWIEŚCI

Stron 181

Cena zł 155

*

Spółdzielnia Wydawnicza
„CZYTELNIK”

CENY OGŁOSZEŃ: 1 linia zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpalcie.

Redaguje Zespół „Kuznicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 18.

D-09536

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

Wydawca: Zespół „Kuznicy”. — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” Nr. 4, ul. Żwirki 2.